

Namioty Wezyra

Walery Przyborowski



calibre 0.9.27



Przyborowski Walery

Namioty Wezyra

Rozdział pierwszy

*W którym jest opowiedziane, jako Piotrek Rzecki opuścił dom
ojcowski*

- Już dłużej nie zdzierzę!

- Ee?

- Wyjadę.

- A dziedziczka?

- Najprzód ty mi nie gadaj o dziedziczce. Ja tu dziedzic, to
wszystko moje.

I wyciągnął rękę, i powiódł nią dokoła na pola, na obszerną
łąkę, której skoszoną trawę w stogi układano.

- Ej, paniczu, żeby to było wasze, tobyście nie uciekali.

- A moje, żebyś wiedział. I jeżeli uciekam, to jeno dlatego, że
nie chcę się swarzyć i też Jagna mię prosi.

- Ano... panienska Jagnieszka, na ten przykład, że tak rzekę,
ma dobre serce, do rany ją przyłożyć.

- Pewnikiem, że tak.

Rozmowa powyższa (toczyła się na polu, pod skwarnym
słońcem czerwcowym, między wysokim, tęgim chłopakiem,
liczącym może osiemnaście lat, ubranym z szlachecka, w żupanik z
kitajki i w buty, niegdyś czerwone, dziś mocno spłowiałe,
wyszarżane i połatane. Obok niego stał z kosą w garści równy mu
wiekiem podrostek, w koszuli zgrzebnej, powróślem przepasanej, w

słomianym kapeluszu na głowie. Był on boso, opalony mocno, brzydki jak nieszczęście, ale w oczach niebieskich, maleńkich, głęboko osadzonych, widać było silne zainteresowanie się rozmową, jaką toczył ze swym paniczem. Ten ciągnął dalej:

- Mam mego srokacza, szablę po ojcu, kontusinę od święta, trzy talary lewkowe, więc pojedę.

- A to i ja pojedę z wami, paniczu. Jakże ja mam ostać sam?

Nie mam nijakiego rodzeństwa, sierota jestem, to zackniłbym się z kretešem. Będziecie też potrzebowali posługi, a i wyręki w jakim przypadku, o co w podróży nietrudno.

- Kiedy ty szablę robić nie umiesz, boś chłop.

- O, laboga, wielka stuka. Chłop cię ja jestem, to prawda, ale zawdy bić potrafię. Świerzbi mię też ręka okrutnie do bitki.

- Hm, może ty masz rację, Maciek. Byłoby to dobrze, żebyś ze mną pojechał. Mam też szablę, to ci dam, o konia jeno będzie trudno, ale przecie wyproszę u macochy, żeby mi dała gniadego...

- Utyka bestyja na przednie nogi, ale to nic... Jeno czy mię dziedziczka puszcza?

- Tylko mi nie gadaj, mówię ci, na moją macochę, że ona dziedziczka. To wszystko moje po matce, a nie po rodzicu. Ona tu nic nie ma.

- Aha, ale wy, paniczu, musicie uciekać, tak wam pani macocha sadła zalała za skórę. Ale to mi ta wszystko jedno. I dokądże my, paniczu, pojedzie wa?

- W świat, gdzie oczy poniosą.

- Oj, to dobrze. Ja też okrutnie ciekawy jestem świata.

- No więc gotuj się do drogi. Jak się jeno kośba skończy, ruszym, da Bóg, w świat.

Kilkakrotnie jeszcze wracali do tej rozmowy, układali plany i umacniali się w swym postanowieniu. W rzeczy samej położenie młodego Piotrusia Rzeckiego, bo tak się zwał panicz, było nie do pozazdroszczenia. Matka odumarła go w dzieciństwie, a ojciec po raz drugi wstąpił w związki małżeńskie, wreszcie przed kilku laty przeniósł się do wieczności. Macocha źle się obchodziła z pasierbem; gdy podrósł, wyrzucała mu ciągle, że chleb je darmo, że gnije na wsi, kiedy tylu chłopców w jego wieku zarabia już na siebie i ociera się między ludźmi. Chodził obdarty, a choć pracował ciężko, bo był ekonomem, podstarościm, pisarzem, jednym słowem wszystkim, nigdy pochwały nie otrzymał. Wiedział, że wieś była jego własnością, bo ojciec dostał ją w posagu za pierwszą swoją żoną, że macocha i jej trzy córki nie mają do tego majątku żadnego prawa, ale jakże tu upominać się o swoje, kiedy macocha w garści trzymała wszystko, a nawet poradzić się nikogo nie dała. Przy tym jedna z jego sióstr przyrodnych, Agnieszka, najstarsza z trzech córek, bardzo kochała Piotrusia i zaklinała go na wszystko, by spokoju matce nie zakłócił. Słuchał jej i cierpiał, aż nareszcie, zmęczony, postanowił wyjechać w świat, szukając tam szczęścia i losu. Ludzie po okolicy gadali, że zanoszą się na wojnę z Turczyńcem,

więc Piotruś sobie mówił:

- Zaciągnę się do wojska i może jeszcze hetmanem останę.

Co ja tu będę ksił i babskie zrzęczenie znoził!

Z zamiarem tym swoim zwierzył się naprzód Jagnie, a potem macosze. Jagna rozplakała się na myśl, że kochanego braciszka może pogański Turczyn gdzie zabić, ale zgodziła się, że Piotruś nie ma czego siedzieć w Rzece (tak się wieś nazywała), bo nic tu nie wysiedzi i zmarnuje się na nic. Macocha zaś z radością przyjęła to postanowienie swego pasierba i umacniała go w nim ciągle.

Obiecywała mu, że go opatrzy jak należy na drogę, a nawet zgodziła się na to, by Maciek Dyrdała, chłopak ze wsi, sierota, jednolatek z Piotrusiem, razem nieomal wychowani, jechał z paniczem jako sługa. Przynęła mu dać konia i barwę jak należy.

Ledwie też kośbę ukończono, gdy zabrano się we dworze do przygotowań do podróży. Macocha dała Piotrusiowi podjezdka jego ulubionego, „Srokaczem” zwanego, rzędzik na niego jak się patrzy i dwa pistolety ojcowskie do olster, tureckiej fabryki. Pod Maćka dała szkapę dużą, starą, ale wytrzymałą, choć ślepą na jedno oko.

Maciek i z tego był bardzo kontent, tak rad był, że się w świat daleki z paniczem wrywa z ciasnych kopców wioski ojczystej. Ubrano go w stary kubrak, Bóg wie po kim pozostały, nieco za szeroki na niego, ale jeszcze dobry, w stare rajtuzy skórzane, haniebnie tu i ówdzie połatane, i w juchtowe buty. Gdy Maciek zadział magierkę z pawim piórem na bakier, gdy się ustroił w owe rajtuzy, do butów

przypiął ostrogi, podarowane przez Piotrusia, a do boku na rzemiennych rapciach przypasał wielkie szablisko, także od panicza otrzymane, to wyglądał jak rycerz albo też hetman. Skoro się na wsi pokazał w tym stroju, to wszystkie baby i dziewczuchy powybiegały na przyzby i podparły się pod brodę na łokciu, dziwowały się, że z Maćka zrobił się „taki galanty ciarach”, a dzieci to się przed nim chowały za węgły i dłubiąc palcem w nosie szeroko rozdziawiały gęby.

Samemu Piotrowi tymczasem Żyd, krawiec z Łomży, umyślnie sprowadzony, szył żupan i kontusz, przerobiony z ojcowskiego. Sajeta była przednia, choć na szwach haniebnie przetarta, ale jeszcze, jak macocha mówiła, można było w takim kontuszu na pokojach królewskich paradować. Bieliznę, dwa kontusze odświętne, buty kordybanowe żółte zapakowano w osobny mantelzak i przytroczono na trzeciego, luźnego konia, którego macocha także dała. Na odjezdnym zawołała Piotrka do siebie i wręczając mu pięć talarów lewkowych mówiła:

- Wyprawiam cię, Piotruś, po pańsku, żebyś nie gadał, że cię skrzywdziła. Żadna z moich córek tyle nie będzie miała, co ty bierzesz.

Piotrek pokłonił się, podziękował pani macosze, choć w duszy wiedział, że go po prostu wypędzają z ojcowizny. Wieś była duża, ziemia pszenna, chłopów gospodarzy trzydziestu i to wszystko warte było kilkadziesiąt, jeżeli nie więcej, tysięcy. Ale zamilkł, bo rad

był się stąd raz wyrwać i zobaczyć, co się tam też dzieje na szerokim świecie.

Kiedy już pięknego czerwcowego poranka siadano na koń, Agnieszka wybiegła i, żegnając się z płaczem z Piotrusiem, wsunęła mu w rękę złotego dukata szepcząc:

- Weź to, Piotruś, weź i niech cię Bóg prowadzi.

Spłakał się Piotruś, ucałował siostrę, która zawsze była dobrą dla niego, i złożwszy na piersiach znak krzyża świętego ruszył w drogę. Kiedy przejeżdżali przez wieś z Maćkiem, który podparł się pod boki i wiodąc luźnego konia, z góry poglądał na wszystkich, to gospodarze i kobiety wiejskie wybiegały na drogę i żegnały panicza z płaczem, a ta i owa wsuwała Maćkowi kobiałkę to z serem, to z masłem, to z jajami, by też mieli „nieboraczki czym się w drodze pożywić”, jak mówiły.

Tak wyjechali za wieś. A gdy już stanęli na granicznym wzgórku, to się - zatrzymali, spojrzeli jeszcze raz na niwy i gaje ojczyste, w których lata swego dzieciństwa i młodości przepędzili, spoważnieli oba, nawet Maciek magierkę zdjął i przeżegnał się głośno. Pomodliwszy się pod krzyżem przydrożnym, puścili się w świat traktem do Łomży szukać owego szczęścia, którego im zagroda domowa dać nie mogła.

Rozdział drugi

W którym jest opowiedziane, jak Maciek dowiedział się o zbójach i herszcie ich, zwanym Szydło

Piotruś i Maciek jechali sobie wolno, gdyż nic ich nagliło, a przy tym długi czas pogrążeni byli w zamyśleniu i cichym smutku, jaki wywołało w nich opuszczenie wioski rodzinnej. Ale wkrótce młodość wzięła górę; ciekawość ujrzenia nieznanych okolic, użycia swobody pochłonięła ich zupełnie. Jechali piaszczystym, mazurskim gościńcem, wśród gorącego dnia czerwcowego, przypatrując się zbożom, łąkom, wdychając w siebie zapach pól i lasów. Pierwszy Maciek przerwał milczenie:

- Paniczu - spytał - a dokąd my jedziemy?

- Najprzód do Łomży. Nie znasz gościńca czy co?

- To ja wiem, że do Łomży, a potem?

- Potem pojedziemy daleko, ku wschodowi słońca. Mam ja w starostwie knyszyńskim ciotkę, która tam trzyma w arendzie folwarczek Borki; zajedziemy do niej.

- Nic nie słyszałem, że panicz mają ciotkę gdzieś tam na kraju świata.

- A mam. Ja jej sam nie znam, bom był jeszcze małym pędrakiem, kiedy ona do nas, do Rzeki, przyjechała, i pomnę, że mi słodki piernik i piękny batożek dała. Potem już jej nie widział.

- Hm, to gdzie ta pani ciotka mieszka? Bom zahaczył.

- W starostwie knyszyńskim.

- Jeszczem też, jak żyję, nie słyszał takiego przezwiska.

- Boś nic nie słyszał. Cóż ty wiesz? Tyś głupi jak, nie przymierzając, but. Nawet czytać nie umiesz.

- A nieprawda! Bo na książce się znam. Przecie mię panicz

nauczyli abecadła?

- To i cóż, ale czytać nie umiesz.

- Ej, co mi ta po czytaniu! Księdzem nie ostanę, a bić, to i bez książki potrafię. Uf, żeby tak kogo spotkać, a poswarzyć się z nim i pobić. Okrutnie mię do bitki ręka świerzbi.

- Jeno ty mi galamatii na gościńcu nie rób. Cóż to, zbóje jesteśmy czy co?

- A nie, nie zbóje.

- No więc jedź sobie spokojnie, jak Pan Jezus przykazał. A już jeżeli ci się bitki chce, to pewnikiem w knyszyńskim starostwie będziesz ją miał.

- E? A to jak?

- Ojciec nieboszczyk powiadali mi, że w tym starostwie są wielkie lasy, puszcze, bory niezbrodzone. Jeno zwierz dziki się tam przechadza i zbóje.

- O, laboga!

- A tak. Pomnę, że mi ojciec powiadali, że tam we środku tych puszczy zameczek jest królewski.

- I król tam mieszka?

- Nie, jeno czasu polowania na dzikiego zwierza staje sobie tam kwaterą. Powiadali mi też ojciec nieboszczyk, że nawet w tym zamczku umarł jeden król i że odtąd straszy.

- Rety! rety!

- Król ten zwał się Zygmunt August. Ale to już dawno temu,

podobno będzie ze dwadzieścia lat.

- O, laboga!

- Otóż tedy, jak my wjedziemy w tę puszcę, to trzeba się mieć na ostrożności, żeby nas zbóje nie napadli, nie ograbili albo też nie zabili.

- Rety! rety! A dużo tych zbójów, paniczu?

- Zali ja wiem? Pewnikiem wielka kupa i herszta też mają, który się zwie Szydło.

- Szydło?

- A tak. Ale to mi ojciec nieboszczyk, będzie temu z dziesięć років, opowiadali. Może już ten Szydło nie żyje.

- Dałby Pan Jezus, bo jak nas taka kupa zbójów w boru napadnie, to jakże my się oprzemy samowtór, mając też luźnego konia, na którego baczenie dawać trzeba, bo na nim całe nasze jest mienie.

- A! a taki skory byłeś do bitki, a teraz szpetnie tchórzysz!

- No, bo jakże z kupą się bić? Czy to ja zdzierzę?

- Zawždy w tobie chamskie jest przyrodzenie, Maćku. Ja, skoro siedzę na mym srokaczu i szablę ojcowską mam przy boku, tom gotów na całe wojsko się rzucić, a cóż dopiero na marną kupę zbójów, którzy jeno chyłkiem chodzą i milczkiem kęsają, jak psy wściekle.

- Tak się to ta gada, ale jak przyjdzie do czego, to jakże na

całą kupę zbójów się rzucać? Zbóje to straszni, słyszę, ludzie.

Wiecie, paniczu, co?

- No?

- Nie jedźmy my chyba do tej tam puszczy... po kiego licha zdrową głowę kłaść pod Ewangelię, jak powiada nasz proboszcz?

Albo to świat maleńki czy co? Mnie już teraz ciarki przechodzą, choć jesteśmy w szczerym polu i dzień jest, i ludzie tam oto siano zwożą. Galante siano. Ale ja sobie myślę na ten przykład, żeby nas tu, czego Boże broń, zbóje napadli, to jakżebyśmy im opór dali?

Panicz jeszcze na swym srokaczu, który jest koń śmigły, mógłby uciekać, ale ja na gniadoszu, który jest stary i utyka, szelma, a przy tym mając powodową szkapę, już na żaden sposób zbójom bym nie uciekł i usiekliby mię jak cielę.

- A nie maszże szabli?

- Co tam szabla, jeszcze żebym miał dobry kij, to pono lepsze jak szabla. Ale nawet kija nie mam i jakże, jadąc z takim rycerzem jak panicz, kij bym dźwigał? Ot, szczerze mówiąc, apaniczu, nie jedźmy do tej puszczy. Weźmy się oto tą drogą na lewo, a ona nas zawsze gdzieś zaprowadzi.

- To nie może być, ja z ciotką obaczyć się i pożegnać muszę i poprosić o błogosławieństwo. Okrom niej i stryjecznego, który gdzieś tam na krańcu świata mieszka, nie mam żadnych innych krewniaków.

- To jedźmy do tego stryjecznego. Jakże on się zwie?

- A jakżeby? Rzecki, tak jak ja.

- Jedźmy tedy do niego, a nie do owej puszczy z dzikim zwierzęciem i zbójami.

- Powiadam ci, że to być nie może, najprzód dlatego, że ja nie wiem, gdzie ten stryj mieszka, a potem, że mi rodzic przed śmiercią przykazywali, ażebym się z ciotką obaczył. Pojedziemy i do stryjka, ale dopiero jak się od ciotki dowiem, w którą stronę świata się mam udać, żeby go odszukać. To podobno bogacz wielki.

- Ha, to już nas pewnikiem zbóje usieką w puszczy albo zwierz dziki pożre. Oj, dolaż moja, dola, nie lepiej mi to było w Rzece siedzieć?

- Ja cię nie trzymam, wracaj sobie, kiedyś taki tchórz. Sam pojedę.

- A to nijak być nie może. Ja bym panicza samego ostawił? O, nigdy! Niech już co chce będzie, a pojedę z paniczem. Dopiero by to wszystkie baby i dziewczuchy się ze mnie śmiały, żebym wrócił. A panienska Jagnieszka powiedziała by mi, że m cap ostatni, skórom panicza samego w świat puścił. Nie, już nie wrócę. Co będzie, to będzie. A może Pan Jezus już zabrał tego herszta Szydłę i zbójów nie ma w tej puszczy, co się tak jakoś dziwnie nazywa. Może nam nic nie będzie, chociaż...

- Cóż?

- Bo to widzą panicz - rzekł Maciek, przesuwając się z koniem, oglądając się dokoła trwożliwie i drapiąc się po kudłatej głowie - bo

to widzą panicz, mnie stara Jędrzejowa... panicz pamiętają

Jędrzejowa?

- A, ta, co w budzie mieszkała na Bugaju? Ona już umarła.

- A pomarła, będzie temu ze dwa roki na św. Michał. O, to była mądra niewiasta. Ona uroki nawet zadawać i odczyniać umiała i gospodarze ze wsi chodzili do proboszcza, żeby ją kazał do grodu odesłać, jako czarownicę. Ale proboszcz skrzyczał ich jeno, powiedział im, że są capy, kapuściane łby i już tam nie wiem co, skoro chcą chrześcijańską duszę potępić.

- A tak, bo to była pobożna niewiasta.

- Pewnikiem, że tak. Otóż u niej zawždy pod jesień prządki się zbierały i my też chłopaki tameśmy chodzili, bo śliczne bajki umiała Jędrzejowa opowiadać, tak że ciarki po skórze latały i nieraz dobrze po północku było, a myśwa jeszcze słuchali i prosili ją, żeby dalej opowiadała. Taka to była mądra niewiasta. Ale co to ja chciałem rzec?

- Nie wiem.

- A! Jędrzejowa mówiła raz, że w takich wielgaśnych puszczech jak ta, dp której my jedziemy, to okrom zbójów, zwierza dzikiego, jeszcze i czarownice, sam wielgi ożóg mieszka. Ma ona, ta niby czarownica, co robiący, taką chałupę na kurzych stopach i kruka, i kota czarnego, i węża, i sowę. To był jeden królewicz, co robiący, który zabłąkał się w takiej puszczy, szukając zaklętej królewny, i natrafił na chałupę czarownicy. Natrafił tedy, co robiący,

co robiący...

- No i cóż?

- Ano, kiej zahaczyłem, jak to było. Jędrzejowa to ta umiała opowiadać, ale ja zahaczyłem... ani krzty nie pomnę...

- Boś ty kapuściana głowa. A wiesz co, Maciek?

- Nic nie wiem.

- Słońce strasznie dopieka i koło południa jest i mnie się też jeść chce.

- A i mnie. Po kiszkach to mi tak warczy, jak nie przymierzając, stary kundys kmiecia Stanisława. Juzem dwa razy rzemyka w pasie skrócał. Brzuszyko mam puste jak niby ta bania na wieży naszego kościoła.

- Otóż to. W tym lasku, gdzie widzę i strumyk jest, odpoczniemy sobie w cieniu, konie napoimy, damy im obroku i sami sobie też podjemy. Przeczekamy skwar, a potem o chłodzie pojedziemy dalej.

Jak rzekli, tak zrobili. Na łączce maleńkiej nad strumykiem, pod rosochatą wierzbą, rozłożyli się i słodkiemu oddali się spoczynkowi.

Rozdział trzeci

Jako Piotrek poznał się z jednym dziadem i co z tego wynikło

Tak jadąc, odpoczywając po lasach, nocując po karczmach, niekiedy nawet w szczerym polu albo pod kopą siana, dopytując się o drogę, nad wieczorem trzeciego dnia swego wyjazdu z Rzeki

dobili się do Puszczy Knyszyńskiej. Z pól zasianych zbożem
rozmaitym, tu i ówdzie czerniących wsiami i miasteczkami,
przeciętych gdzieniegdzie niewielkimi kępami lasów, nagle ujrzeli
przed sobą, jak okiem sięgnąć, wielki czarny bór, kraj pusty i na pół
dziki. Pod wieczór się już miało i na dobitkę niebo, dotąd przez cały
czas ich podróży jasne i wypogodzone, powlokło się chmurami i
począł padać drobny, gęsty deszcz, zapowiadający co najmniej
trzydniówkę. Nigdzie nie było widać ani wioski, ani dachu żadnego,
gdzie by się można było schronić przed pluchą nieznośną; dopiero
gdy już ściemniało zupełnie, na samym skraju puszczy ujrzeli
wielką karcznię drewnianą, z ogromnym dachem dranicami krytym,
z podjazdem na słupkach. W dwóch maleńkich okienkach świeciło
się, a pies, poczuwszy obcych z dala, już ujadał zawzięcie.

- Chwała Bogu - rzekł Piotrek - przynajmniej noc pod dachem
spędzimy. Przemokłem do nitki, a i szkapy są strasznie zdrożone,
ledwie nogami powłóczę.

- To pewna, paniczu - ozwie się na to Maciek - że szkapy
zdrożone, a mój koń łeb spuścił, jakby już miał zdychać. Jeno...

- Jeno co?

- Jakże my to będziemy nocowali w takim pustkowiu? Toć tu
nigdzie, okrom tej karczmy, dachu nie widać. A może tu jaki zbój
siedzi pod borem?

- Tobie się jeno zbójce po głowie troją. Jedziemy już trzy dni, a
nigdzieśmy nie tylko zbójów nie widzieli, ale nawet nie słyszeliśmy o

nich. Dawniej to ta może zbójcowie bywali, ale dziś?

- Ha, niech i tak będzie, jeno ja dam wam, paniczu, jedną radę.

- Jakąż to?

- Mnie stara Jędrzejowa nieraz o takich karczmach pod borem opowiadała. Zawždy w nich zabijali podróżnych gości. Ale jeden królewicz, nim poszedł spać, zmówił se Kto się w opieką i Pan Jezus tak uczynił, że gdy karczmarz przyszedł nocką zabijać, to go nie mógł obaczyć, bo się stał niewidzialnym. Tedy ja radzę, żebyśmy to samo, nim legniemy na spoczynek, uczynili, pobożnie Kto się w opieką odmówili, a Pan Jezus i Matka Przenajświętsza nas ocali.

- Odmówić pobożne pieśni nie zawadzi, ale wybijże sobie z głowy tych zbójów i nie trwóż siebie i mnie.

Tak rozmawiając, wśród nieustannego deszczu i wichru, który się zerwał i wył ponuro po boru, stanęli przed karczmą. Na plusk kopyt końskich po wielkiej kałuży i zawzięte ujadanie psa wyskoczył na ganek najprzód Żydziak jakiś mały, w jarmułce, z pejsami, z tasiemkami u żupanika, popatrzał i zniknął w ciemnych drzwiach. Nierychło potem ukazał się wysoki czarny Żyd, także w jarmułce aksamitnej na głowie, z wielką brodą i złymi ślepiami. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, pończochy go opadły, a przydeptanymi pantoflami klapał głośno po mokrym od deszczu ganku. Stanął i patrzył ciekawie, ale nic nie mówił.

- Można tu przenocować? - spytał Piotrek.

- Czemu nie? Karczma jest od tego, żeby w niej podróżni nocowali.

- A jeść dostanie co?

- Jest chleb, mleko, jaja, gorzałka.

- A owies?

- I to jest.

Stał ciągle, nie zmieniając postawy i przypatrując się ciekawie, jak Piotrek z Maćkiem złązili z koni. Gdy ten ostatni ruszył do stajni, której wrota były na oścież rozwarte, a Piotrek wszedł na ganek,

Żyd usunął się nieco w bok i spytał:

- A skąd to Pan Bóg prowadzi?

- Z daleka.

- A dokąd?

- Do Borek.

- Do Borek, do pani Wiśniewskiej?

- A może i do pani Wiśniewskiej.

- Ny, to daleko. A stąd jest dobrych ośm mil, samą puszcą. A

co wielmożny panicz chcą od pani Wiśniewskiej? Tam z

przeproszeniem taka bieda, żeby jej siekierą nie uciął. I z daleka

panicz jadą?

- O, z daleka, aż zza Łomży.

- Ny, to nie bardzo daleko.

- Prowadźże mnie, panie arendarzu, do izby. Cóż to, chcesz,

asan, bym tu na ganku nocostał.

- A proszę, proszę!

Otworzył drzwi na oścież i puścił przed sobą Piotrka, przyglądając mu się bacznie. Izba wilgotna, pełna błota, duszna, była jasno oświetlona od wielkiego ogniska na kominie. Z alkierza, do którego drzwi były otwarte, dochodził płacz bachurów, a na drągu, przywiązanych sznurkami do pułapu, siedziały rzędem kury i głośno gdakały, a gdy drąg się poruszył, to trzepotały skrzydłami. W izbie, oprócz młodego Żydzia, który pierwszy wypadł na ganek, siedział jeszcze za stołem na ławie w pobliżu szynkwasu dziad w szarej siermiędze, z podartą opończą na ramionach, w postołach łykiem związanych, w czapie wilczej na głowie, choć to było lato, a w izbie parno. Spod tej czapy, mocno nasuniętej na czoło, wyglądały kosmyki siwych włosów; gęste, krzaczaste brwi zakrywały oczy, które od czasu do czasu łykały jakimś złowróbnym blaskiem. Wielkie siwe wąsy i także siwa broda, sięgająca niemal do pasa, nadawały mu wygląd surowy i dziki. Gdy Piotrek z Żydem weszli do izby, nie ruszył się, tylko podparł się na rękę i patrzył spode łba na przy byłego.

- Niech będzie pochwalony - rzekł Piotrek, zwracając się do dziada.

- Na wieki wieków - mruknął, ale się nie ruszył.

Piotrkowi, gdy się rozejrzył, markotno trochę było. Po izbie od ognia tłukły się po kątach wielkie, posępne cienie, a z dworu dochodził jednostajny plusk deszczu i ponure wycie wichru po lesie.

Usiadł jednak, starając się szablę tak umieścić, aby ją miał pod ręką, i głosem, któremu swobodę chciał nadać, rzekł:

- No, panie arendarzu, kaźże nam usmażyć jajecznicę i owsa daj ze sześć garncy dla koni.

- Dobrze, czemu nie, jeno za jajecznicę za nocleg, za stajnię i za owies, z przeproszeniem, trzeba zapłacić.

Słowa te rozgniewały Piotrka, a że był prędko, skoczył z ławy na środek izby i huknął:

- Cóż ty, Żydzie, sobie myślisz? Czy to ja nie zapłacę, czy oszust jestem jaki?!

Żyd, zestrachany, pędem wpadł za szynkwę i tu, czując się bezpieczniejszy, szwargotał:

- Herszte? Z przeproszeniem wielmożnego panicza, ale teraz dużo takich różnych szlachciców ciągnie na wojnę, na Turka, to uni nie płacą, jeszcze biją. I że nie płacą, to uni są od tego, ale czego biją?

- No, dość tego, ile ci się będzie należało? Oblicz, a z góry zapłacę.

Żyd wziął kawałek kredy i pisał na tablicy, i liczył powoli, a tymczasem ów dziad wysunął się zza stołu i zbliżywszy się do Piotrka, szepnie mu do ucha:

- Wielmożny panie, ja wam coś rzec chcę. Piotrek żwawo się obrócił do dziada i spojrzał mu w oczy. Teraz dopiero spostrzegł, że dziad ów był olbrzymiego wzrostu, barczysty i w rękę trzymał grubą

pałkę, nabijaną gwoździami.

- Czego chcecie?

- Niech pan nie nocuje w tej karczmie, bo pana może zła przygoda spotkać. Jam jest katolik i szlachcic spod Wizny, a żem zbiedniał i stary jestem, to sobie pielgrzymuję. O milę stąd, gościńcem jak strzełił, jest karczma murowana i katolik w niej siedzi. Tam zawždy wszyscy panowie nocują. Niech pan zje, co pan kazał zrobić, konie nakarmić i w drogę. A ma pan pacholika?

- Mam.

W tej chwili Żyd przestał liczyć, podniósł głowę i spojrzał na dziada. Piotrkowi się zdawało, że dziad mrugnął do Żyda i widocznie się porozumiewali. Zamyślił się więc, co czynić. Nocować tu źle, jechać także źle, bo widocznie rada dziadowska była zdradną. A Żyd tymczasem szwargotał:

- Dziesięć tynfów za wszystko.

Wtem wszedł z trzaskiem do izby Maciek i kładąc pistolety, wyjęte z olster, na stole, rzekł:

- Konie ustawiłem, ale stajnia licha warta, ciecze przez dach. A oto pistolety przyniosłem, żeby nie zamokły. Nabiłem je grankulami.

Piotrek tymczasem rozmyślił się i rzekł do Żyda:

- Koniom dasz owsa, nam usmażysz jajecznicy i nic więcej.

Nocować tu nie będę. Ile za to?

Żyd namawiał, tłumaczył, że w taki psi czas taka godna osoba nie powinna jechać, ale to wszystko nie pomogło. Maciek dziwić się

począł, lecz Piotrek dał mu znak, kładąc palec na ustach, więc chłopak milczał. Czekając na jajecznicę, młody Rzecki śledził dziada, który usiadł na dawnym miejscu, i prawie był pewny, że oczami porozumiewa się z Żydem, który zresztą nie bardzo i raczej tylko dla formy nalegał, by „godne osoby” w jego karczmie przenocowały. Gdy jajecznica była gotowa, gdy ją zjedli, a konie dobrze się podpały, Piotrek z Maćkiem ruszyli w dalszą drogę.

Rozdział czwarty

W którym jest opowiedziana rozmowa Maćka z dziadem

Gdy Piotrek i Maciej wyjeżdżali z karczmy, deszcz lał po dawnemu i wicher wyl nieustannie, ale z tym wszystkim noc na szczęście nie była zbyt ciemna. Księżyc był właśnie w pełni i gdyby nie chmury, byłoby zupełnie widno. Zrazu w pobliżu karczmy posuwali się obaj w milczeniu, ale gdy się już od niej oddalili nieco, tak że ich nikt podsłuchać nie mógł, Maciek zapytał:

- Co to się stało, paniczu?

Więc tedy Piotrek opowiedział mu wszystko dokładnie: swoje zajście z Żydem, radę dziada i jego widoczne porozumiewanie się z karczmarzem.

Maciek, wysłuchawszy tego, zawołał:

- Ten dziad, ani chybi, to sam Szydło!

- A może i Szydło.

- Żyd jest widocznie w porozumieniu ze zbójcami i szyję bym dał, że owej karczmy katolickiej o milę stąd w boru wcale nie ma.

- Pewnikiem, że nie ma.

- Co tu teraz czynić?

To rzekłszy, Maciek zatrzymał się na gościńcu i oglądał się dokoła. Właśnie wjechali w bór, który szumiał i jęczał, ale wiatr tutaj, poza zasłoną wielkich starych drzew, mniej dokuczał.

- Czego stoisz? - pytał Piotrek.

- Bo ja sobie kalkuluję jedną rzecz.

- Cóż ty sobie kalkulujesz?

- Otóż tak. Widzicie, paniczu, ten dziad, Szydło, który pewnikiem jest hersztem zbójów, obaczywszy u was pieniądze, chce nas w boru ograbić i zamordować, ani chybi pójdzie za nami i będzie nas z dala podpatrywał. Owóż wy, paniczu, weźcie ze sobą luźnego konia i jedźcie sobie dalej gościńcem jakby nigdy nic, a ujechawszy z ćwierć mili, stańcie sobie pod drzewem i czekajcie na mnie.

- A cóż ty zrobisz?

- Ja się tu ostanę. Ściągnę łeb gniadosza i ukryję się oto za tym krzakiem i czyhać będę na dziada. Jak go jeno obaczę, wpadnę na niego.

- I co? Zabijesz go?

- A zabiję!

- Nie, nie czyn tego, Maciek. Twoja rada dobra, i widzę, żeś ty łebski chłop, ale nie zabijaj. Zawždy to jest człowiek, a my też nie jesteśmy zbójcy, byśmy na gościńcach rozbijali.

- Ha, skoro tak chcecie, paniczu, to i dobrze. Wytnę sobie w lesie krzepki kij i dzielę nim dziada. Sprawię mu jeno uczciwe lanie, zwiążę potem trokami, które mam przy kulbace, gębę czym zatkam i cisnę hultaja w krzaki, niech sobie tam poleży.
- Tak uczyn, jeno się pilnuj, Maciuś, żeby ci się nic złego nie stało, a potem wracaj, bój się Boga, bo ja będę na ciebie czekał w strasznym niepokoju.
- Niczego się, paniczu, nie bójcie, wszystko pójdzie galanto. No, jedźcie już, bo widzi mi się, że kole karczmy coś się rusza. Pewnikiem dziad już wyszedł.
- Miej że się na ostrożności. A może byłoby lepiej, żebym tu ostał także w zasadzce?
- Nie, bo najprzód dzierząc luźnego konia niewiele byście mi pomagali, a potem trzeba, żeby dziad słyszał, iż ktoś jedzie gościńcem.
- Masz słuszność. Jadę. Z Bogiem!
- Z Bogiem!

Piotrek wziął konia luźnego i puścił się środkiem gościńca, klapiąc głośno po kałużach, a Maciek zwawo skręcił w bok i umieścił się poza dużym drzewem, całkiem z gościńca niewidzialny. Stał tak pół pacierza, wytyżając wzrok w kierunku karczmy, którą stąd było widać trochę i jedno oświecone okienko błyszczało w ciemności niby ślepie dzikiego zwierza, gdy nagle na gościńcu ujrzał jakiś cień przemykający się chyłkiem i bokami,

właśnie od tej strony, po której Maciek był ukryty. Gdy już cień zbliżył się do niego, po olbrzymiej postaci, po opończy, którą wiatr wydymał, i po wielkiej wilczej czapie poznał dziada z karczmy. Biegł on szybko, oddychając głośno, z pałką na ramieniu. Tedy Maciek, niewiele myśląc, spiął gniadosza ostrogami i dzierżąc w garści świeżo w lesie wyłamany kij, wypadł pędem na gościniec i zdzielił dziada przez głowę. Ten, napadnięty niespodzianie, krzyknął jeno: - „O, laboga!” - zachwiał się, rękami schwycił za głowę, przy czym buława mu wypadła, i runął jak długi na ziemię. Na to też czekał Maciek. W jednej chwili zeskoczył z konia, dobył troków i przede wszystkim silnie skrępował zbójowi ręce na plecach. Ten ocknął się już, jęczał tylko, a Maciek gadał:

- Zaraz ci, robaczku, i gębę zatkam, żebyś nie kwiczał. A widzisz, jak to źle stawać na zdradzie podróżnym. Zawždy tak bywa, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Tak mówiąc związał mu nogi z całych sił, a dziad, który już z ogłuszenia przyszedł całkiem do siebie, pytał grubym głosem:

- Ktoś ty? Czego chcesz ode mnie?

- Kto ja, to tobie nic do tego, a czego chcę, to się zaraz dowiesz. Gotuj się na śmierć, bo cię, hultaju, zaraz obwieszę na sośnie.

- Bój się Boga, com ci winien?!

I nagle, wyteżywszy pierś, huknął potężnym głosem:

- Bywaj! Do mnie!

Na szczęście wicher w tej chwili z taką siłą zawył, że trzask

łamanych drzew i szum po lesie krzyk ten zagłuszył.

- Oho, robaczku, toś ty taki? - rzekł Maciek nieco zestrachany -

czekajże, zaraz ci gębę zatkam, żebyś sobie jej nie psuł po

próżnicy. To powiedziawszy, urwał kawał opończy dziadowskiej i

szmatę ową, zwiniętą w pęczek, wpakował mu w usta i w dodatku

przewiązał trokiem, tak żeby owej szmaty nie mógł wypluć.

Uczyniwszy to, wyprostował się, odetchnął głęboko, bo praca była

ciężka i spocił się przy niej. Obejrzał się dokoła, czy kto nie biegnie,

ale nic, żywej duszy nie było widać ani słyszać, tylko las szumiał po

dawnemu. Wziął tedy gniadosza za cugle i przywiązał do drzewa, a

potem chwycił dziada pod ramiona i z wielkim wysiłkiem,

zatrzymując się co chwila dla odpoczynku, bo zbój był olbrzymiego

wzrostu i ciężki, zawlókł go w krzaki w głąb boru i cisnął na ziemię.

- Leżże sobie, robaczku, aż cię tu wilki zjedzą. Wygodę masz

wszelaką, a że ci deszcz kapać będzie na gębę, to nic nie szkodzi.

Bądźże mi zdrow!

To rzekłszy, pobiegł do gniadosza, odwiązał, wskoczył na

niego i pędem puścił się gościńcem szukać Piotrka. Ale niedługo

jechał, gdyż usłyszał kłapanie pędzących cwałem koni. Zrazu

przestraszył się myśląc, że to może zbójce na krzyk herszta biegną z

pomocą; więc zatrzymał się i zapominając o szabli, potrząsał owym

kijem, którym pokonał dziada, gotów do obrony. Wkrótce jednak

spozstrzegł, że jeden koń jest bez jeźdźca i na zapytanie: - „Czy to

wy paniczu?” - usłyszał znajomy sobie dobrze głos Piotrka.

- Po co wracacie? - spytał, gdy już się zrównali.

- Więc żyw jesteś, Maciuś? A niechże będą Najświętszej

Panience dzięki. Usłyszałem krzyk: - „Bywaj!” - i myślałem, że cię ten dziad rzeza i już biegłem ci z pomocą.

W rzeczy samej Piotrek dzierżył gołą szablę w garści, a pistolety miał na pół wysunięte z olster.

- Niech panicz zawrócą i jedziemy dalej - rzekł Maciek - bo tu niebezpiecznie czekać.

Jechali więc wyciągniętym kłusem, a Maciek opowiadał swą walkę z dziadem.

- A toś się dzielnie, Maćku, spisał!

- A widzicie, paniczu, a gadaliście, że tchórz i cap. No, ja do bitki jak do tańca, jeno nie lubię z kupą się borykać, ale z jednym, to mi graj.

Nagle się zatrzymał.

- Co się stało? - spytał Piotrek, oglądając się dokoła trwożliwie.

- Nic, jeno ja sobie kalkuluję, że skoro ów dziad, który, ani chybi, jest hersztem zbójów, może nawet samym Szydłem, gonił nas gościńcem, to dlatego, że tu gdzieś jego banda się znajduje.

Możemy wpaść jej w łapy, jeżeli dalej będzie w jechali prosto. Otóż ja sobie tak myślę, że oto skróćmy w bok tą drożyną, co tu ją widać.

Zawszy gdzieś ona nas zaprowadzi. Cóż panicz na to?

- Dobrze radzisz i, prawdę powiedziawszy, to nam wszystko w

tej chwili jedno, dokąd zajdziemy. Bo ja rozumiem, że to, co ów dziad o karczmie katolickiej gadał, to jest proste oszukaństwo.

- A oczywiście! Chciał, szelma ostatnia, nas po prostu złapać, jak lisów w pułapkę. Ale niedoczekanie jego. Mądry on, ani słowa, ale i my nie głupi. No cóż, jedziwa tą drożyną?

- Jedziemy w imię Boże!

Drożyna owa, zrazu dość szeroka, powoli zwężała się w ścieżkę, tak że gęsiego musieli jechać, ale była widoczna, bo gąszcz po obu jej stronach świadczył, że dukt ten umyślnie był wycięty. Było tu bardzo ciemno, bo olbrzymie sosny i dęby, podszyte mocno krzakami u dołu, nie przepuszczały najmniejszego nawet odblasku, tak że jadący z tyłu Maciek nie widział przed sobą konia luźnego, który postępował we środku. Przy tym nisko zwieszające się gałęzie smagały ich nelitościwie po głowach i strząsały na nich całe potoki wody. Przemokli do nitki, znużeni byli niesłychanie, konie też ustawały widocznie.

W takim położeniu Maciek zaproponował, ażeby się zatrzymać i z biedą pod jakim krzakiem przenocować. Piotrek zgodził się na to, bo było mu zimno i chętką go do snu brała. Natrafił na małą polankę i na dąb rozłożysty, pod którym się zatrzymali. Konie rozkulbaczyli i spętawszy puścili na trawę, sami zaś otuliwszy się czym można było legli, by przedrzemać tę noc pełną przygód.

Ognia palić nie chcieli z obawy przed zbójcami, a gdy jeden spał, to drugi czuwał. Na szczęście noc czerwcową była krótka, a nad

ranem się też wypogodziło nieco i gdy słońce wzeszło, zerwali się do dalszej drogi.

Rozdział piąty

Jako Maciek, obawiając się strachów, zapoznał się z

Wołochem

Gdy Piotrek z Maćkiem przy jasnym, wesołym słońcu, napełniającym bór cały balsamiczną wonią i świergotem ptactwa, wyruszyli w drogę dalszą, to zdawało im się, że wczorajsze przygody nocne były jakimś snem niemiłym i ciężkim. Jechali teraz wśród puszczy, przeważnie z drzew liściastych złożonej, z dębów, grabów i lip. Drożyna, którą wczoraj się puścili byli, zrazu wąska, powoli rozszerzała się i w końcu zmieniała się w wyraźny, choć zarosły trawą, gościniec, tak że mogli obok siebie jechać. Ten las, ta nie zmacona niczym cisza poranku letniego, to słońce, przedzierające się przez gałęzie i liście i kładące się wielkimi, złocistymi plamami na drodze, nadzwyczaj wesoło usposobiły młodych podróżnych. Śmiali się, żartowali ze zbójców, a Maciek, dobywszy kobiałki z chlebem, masłem, serem i kielbasą, zajadał żarłocznie śniadanie, aż mu się uszy trzęsły i śmiać się ani gadać nie mógł, bo miał zupełnie zapchane usta śniadaniem.

- Zawždy to jest bardzo ciekawe - mówił Piotrek - dokąd nas ta droga zawiedzie, bo że to jest droga, to widać, jeno mało kto nią jeździ.

- A nam to wszystko jedno, dokąd zawiedzie. Czy nam to pilno,

czy co? Czy podstarości nad nami stoi? He?

I śmiał się głośno ze swego konceptu, a las cały śmiał się z nim razem echem długim.

- Podstarości nad nami nie stoi - odpowiadał Piotrek - ale do Borek nam dostać się trzeba.

- Ej, po co my tam pojedziemy, wszak ci, paniczu, Żyd w karczmie gadał, że w Borkach bieda aż piszczy.

- Jak jest, to jest, a ja wolę rodzica nieboszczyka spełnić muszę.

- Pewnikiem, że tak.

- To jedno, a drugie, trzeba nam się śpieszyć, boć ludzie ciągle gadają o wojnie z Turczyńcem. A może wojsko królewskie bez nas wyruszy? To byłoby szpetnie i co byśmy wtenczas robili?

- Że by było szpetnie, to ani słowa. Ja na Turczyńca mam wielką chrapkę. Jak go wezmę za łeb, to jeno piśnie jak, nie przymierzając, kurczę, kiedy je zarzynają, i już.

- No, no, z ciebie, Maćku, wielki rycerz, to prawda, boś wczoraj zmógł dziada. Ale też i Turczyńca jest rycerz straszny.

- Ja go się ta nijak nie boję.

Tak gwarząc, jechali wciąż drogą zarośniętą trawą, nie napotkawszy żywej duszy. Parę razy tylko wypadały sarny i popatrzawszy na nich zdziwionymi oczyma, jednym skokiem ginęły w ciemnościach lasu. Gdy jednak postępując wciąż, widzieli, że słońce już było wysoko, a bór wcale się nie kończył i ani człowieka,

ani chaty nie było widać, poczęli się niepokoić.

- Czy ten las nigdy się nie przerwie, paniczu? - pytał Maciek.

- I mnie się już przykrzy tak jechać ciągle lasem i końca nie widzieć, ani też nikogo nie spotkać. Wszelako jedziemy drogą i ona musi nas dokądś zaprowadzić.

- Mnie się widzi, że to las zaczarowany. Jędrzejowa opowiadała, że są takie lasy. Złe po nich ludzi wodzi; poty błędzą, aż zamrą. My ta jeszcze mamy co jeść, ale szkapy, co jeno trawę dziś żarły, ustają.

- Odpoczniemy sobie zaraz, byle gdzie wodę napotkać.

Ale i o wodę było trudno. Las rósł na piaszczystym gruncie i nigdzie ani łąki, ani strumyka widać nie było. Wreszcie dobrze z południa natrafili na bagnistą polankę, zarosłą sitowiem, z którego za ich zbliżeniem się gromady dzikich kaczek i kurek się zerwały.

Zatrzymali się więc, konie napoili, spętali i puścili na trawę, a sami legli pod drzewem i posiliwszy się czerstwym i twardym chlebem oraz kielbasą, naradzili się, co czynić.

Oczywiście nic innego nie było do roboty, jak jechać dalej ową drogą, która w końcu gdzieś musiała ich zaprowadzić. Przykrzył im się las, cisza nie zmacona, brak ludzi, brak nieba, zakrytego olbrzymimi drzewami, ale na to już rady nie było. Maciek przesądny, ciągle gadał, że oni z tego lasu nigdy nie wyjdą, ale Piotrek zgromił go surowo i powiedział, że wszystko na świecie ma swój koniec, więc i ta puszcza kiedyś się skończy.

Odpocząwszy sobie dobrze, gdy trochę skwar minął, puścili się dalej. Konie podkarmione jedynie trawą wlokły się leniwie i widocznie były zmęczone mocno. Gdy też dzień miał się ku schyłkowi, a las się nie kończył i droga wciąż szła duktem do nieskończoności, Piotrka zaczął strach brać, czy czasem Maciek prawdy nie mówi, że to bór zaczarowany i że przyjdzie im tu zginąć. Konie już ledwie nogi powłóczyły, a tu nakarmić nie było czym. Na szczęście pod sam wieczór zdybali na drodze chłopca, który wioził drwa na furze. Chłop, obaczywszy dwóch zbrojnych jeźdźców, przeraził się mocno, zdjął czapkę i, dygocąc ze strachu, stał przy furze, wpatrując się w podróżnych szeroko rozwartymi oczyma.

- Dokąd ta droga prowadzi? - spytał go Piotrek.

- Do Knyszyna, wielmożny panie.

- A daleko jeszcze do Knyszyna?

- Niedaleko, wielmożny panie. Zaraz las się skończy. Będzie mila bez mała. Potem jezioro, a za jeziorem miasto.

Pocieszony tym Piotrek już ruszył naprzód, gdy Maciek zauważył, że na drwach leży napełniony czymś worek, i zapytał:

- A co macie w tym worku?

- Obrok, panie.

- Sprzedajcie go nam.

- Kiej - chłop się podrapał po głowie - i mnie jest potrzebny.

Konięta głodne.

- No, no, sprzedajcie, ile chcecie?

- A pan ile dadzą?

Targ w targ kupili za trzy tynfy półkorcowy worek sieczeni, pomieszanej z owsem, i ruszyli dalej. Mrok już zapadł, gdy wydobyli się na koniec z lasu na obszerne łąki, nad którymi unosiła się gęsta mgła. W oddali, pod księżyc srebrzyła się tafla jeziora i na wzgórzu nad nim czerniały jakieś budynki. Konie ustały zupełnie, aż zejść z nich musieli i szli już piechotą, ciągnąc je za sobą. Sam tylko luźny, szkapę wytrzymała, szedł dobrze, dźwigając na sobie obrok.

- Jezioro jakieś ogromne i do Knyszyna, którego nie widać, konie nasze nie dojdą - mówił Piotrek.

- Nie dojdą, paniczu, i mnie się widzi, że najlepiej będzie, gdy w tych tam oto budynkach się zatrzymamy. Kiej są budynki, to i ludzie w nich być muszą.

Skręcili więc w bok wąską drożyną, która wiodła przez łąki do owych czerniejących się z dala zabudowań, i noc już była pełna, gdy się do nich dostali. Ale zawiedli się mocno. Przed nimi na niewielkim wzgórzu sterczały jakieś ruiny, baszty, mury bez dachów, pustka, jednym słowem. Lecz że należało mieć wzgląd na konie, choć z wielką niechęcią Maćka, zatrzymano się tutaj. Jezioro było pod nosem, napojono więc zdrożonych podjezdków i dano im obroku, zakupionego u chłopca w lesie. Gdy już obrządzono się koło koni, Piotrek z Maćkiem poczęli przeglądać ową ruderę. Dachy nigdzie nawet kawałka nie znaleźli, wszędzie jeno pustka, zwaliska, gruzy, zajmujące całe owe wzgórze.

- Ani chybi - mówi Piotrek - to ten zameczek tak podupadł, o którym rodzic mi opowiadali, że królowie czasu polowań w nim mieszkali.

- O, laboga, paniczu, to tu straszy.

- Ej, co by nas ta miało straszyć, albo my to komu co winni?

Ot, umieścimy się na skraju, koło koni, pod tą ścianą i przekawęczymy tak noc. Jutro dojdziemy do Knyszyna i wypoczniemy sobie dobrze.

- Alboż to można tu spać?

- Toteż gdy jeden będzie spał, drugi niech czuwa. Ja się z początku prześpię, a o północy mię obudzisz i będę strzegł ciebie i koni. A o strachach nie myśl, bo przecie ksiądz proboszcz w Rzece, który jest mąż uczony i na księgach się zna, gadał nieraz, że żadnych strachów na świecie nie ma, jeno głupota ludzka je sobie stwarza.

- Tak, dobrze to gadać, kiej się siedzi w chałupie, między ludźmi, a nie w takim pustkowiu.

Toteż gdy Piotrek, owinąwszy się opończą, legł na miękkiej murawie wzgórza i znużony mocno zaraz zasnął, Maciek o mało nie zemdlął ze strachu. Ale krzepił się, jak mógł, wytrzeszczał oczy, nadśluchiwał pilnie, lecz nic nie słyszał i nie widział. Z boku miał łąki i jezioro, srebrne od srebrnego miesiąca, otulone w białe mgły, które unosiły się nad nim, przewalały i kłębiły. W naturze leżało wielkie, niczym nie zamącone milczenie cichej nocy letniej. Świerszcz tylko

gdzieś w gruzach ukryty świergotał głośno, konie od czasu do czasu chrapnęły albo wiatr przyniósł dalekie naszczekiwanie psa.

Ta senna cisza uspokoiła Maćka, a zmęczony także tyłu przygodami, co chwila zmrugał oczy i zasypiał, ale zaraz się budził i patrzył na niebo, czy gwiazdy na północek już świecą.

Raz gdy się tak zdrzemnął, zdało mu się, że ktoś wśród gruzów stąpa, i kamień jakiś, potrącony nogą, potoczył się głuchym szelestem. Otworzył przerażone oczy i włosy mu na głowie powstały na widok tego, co ujrzał. Środkiem ruin spod baszty okrągłej wysunęło się jakieś widmo białe i szło ostrożnie, zatrzymując się co chwila. Szło w kierunku śpiącego Piotrka i skamieniałego ze strachu Maćka. Słysząc było wyraźne stąpanie i zgrzyt usuwających się kamieni, którymi całe wnętrze ruin było zasypane. Maciek w okropnej trwodze zrazu chciał uciekać, ale przypomniał sobie śpiącego Piotrka i bądź co bądź postanowił nie oddawać go na pastwę upiora.

Szarpnął więc mocno swym towarzyszem. Ten, śpiący nadzwyczaj czujnie, zerwał się od razu i zapytał:

- Co to?

- Paniczu, paniczu - szeptał Maciek, chwytając gwałtownie piersiami powietrze - patrzcie, patrzcie.

I wyciągnął rękę, i wskazał posuwające się ku nim białe widmo. To widocznie usłyszało głosy, bo zatrzymało się nagle. W tym miejscu, gdzie ono stało, padał jasny blask od miesiąca i widać

było wysoką jakąś postać, owiniętą w białą opończę, w kołpaku na głowie. Piotrek spojrzął i w jednej chwili oprzytomniał. Porwał się na nogi i chwyciwszy za pistolet, który poprzednio wyjął był z olster i położył przy sobie, huknął gromkim głosem:

- Kto tu?!

Głos jego rozległ się donośnym echem wśród murów, ale widmo nic nie odrzekło, choć poruszyło się gwałtownie.

- Stój! - krzyknął Piotrek - bo strzelę!

- A, nie strzelaj, waćpan, swój jestem, nic ci złego zrobić nie chcę - odezwał się jakiś głos śpiewny i przeciągły.

- Paniczu! - zawołał Maciek - gada, to nie strach.

- A oczywiście, nie jestem żaden strach, jeno człowiek jak się patrzy. Sługa jestem pana starosty Gnińskiego. Od dwóch dni polujemy w lasach knyszyńskich, odłączyłem się od myśliwych, pobłądziłem w boru i ot, zaszedłem aż tutaj.

To mówiąc ów dworzanin szedł wolno i stanął przed obu podróżnymi, i czarne oczy w nich wlepił. Widać go było teraz doskonale. Na głowie miał jakiś osobliwy kołpak, a na ramiona zarzuconą opończę białą z peleryną i kapturem, niezwykłym krojem sporządzoną. Był bez broni, tylko za pasem, pod opończę, błyszczał pod księżyc kordelas. Twarz miał zarośniętą, wielkie wąsy i czarną lśniącą brodę. Wyglądał na Cygana.

- Spozstrzegłszy waćpanów - mówił dalej śpiewnym językiem - zbliżyłem się, bo mi się jeść chce, i że cały dzień nic w ustach w tej

przekłętej puszczy nie miałem. Dajcież mi choć chleba kawałek, bo
zemdleję z głodu.

- A i owszem - rzekł na to Piotrek - Maciek doładź chleba i
kielbasy, jeżeli jeszcze jest.

- Oho! I kielbasę macie, waćpanowie. To będzie prawdziwa
biesiada.

To rzekłszy, usiadł sobie na murawie i palącymi łyskał dokoła
oczyma. Maciek niechętnie, mruczając coś pod nosem, poszedł
dobywać prowiantów i gdy je przyniósł nieznanemu, a ten począł
zajadać, przysiadł się do niego i nuż pytać:

- A cóż to za jeden ten wasz pan Gniński?

- Starosta tutejszy. Całe starostwo knyszyńskie do niego
należy.

- Dawno u niego służycie?

- Będzie na Św. Michała trzy lata.

- I często on poluje?

- Dość często, a jak teraz to ciągle, bo z królem jedzie na
wojnę na Turczyna, więc bije zwierzynę, żeby mieć żywność dla
wojska.

- I wy, panie, zawsze z nim polujecie?

- A zawsze.

- I jakże to może być, żeby przez lata, włócząc się po tej
puszczy, jeszcze jej na tyle nie poznaliście, żeście pobłądzili?

Nieznanomy spojrział spode łba na Maćka i odrzekł:

- A tak to, tak, puszcza jest wielka i diabeł się w niej nie pozna.

Wtem wmieszał się do rozmowy Piotrek:

- Ale wy, panie, to chyba nietutejsi jesteście?

- Dlaczego?

- Bo taką dziwną jakąś macie mowę.

- Hm, już cić, prawdę rzekłszy, nietutejszym ja. Wołoch jestem.

Potem skręcił zaraz rozmowę i począł nawzajem wypytywać się chłopców, co oni za jedni i dokąd jadą. Gdy mu powiedzieli o Borkach, rzekł, że folwark ten zna, że jest on za Knyszynem o dwie mile drogi, że dwór stoi na wyspie na jezioru, że bieda tam wielka, bo pan Wiśniewski oszalał i jeno sama pani Wiśniewska z synem podrostkiem gospodaruje, ale jak to zwykle, kobiece rządy psu na budę się nie zdadzą; że Borki to złe miejsce, bo zbóje, których pełno jest w puszczy, często tam zagładają. Gdy go się poczęto dopytywać o tych zbójów, umilkł i nie chciał gadać. Tak przegwarzono do rana. O samym świcie Wołoch się zerwał, pożegnał podróżnych i puścił się drożyną do lasu, gdzie wkrótce zniknął.

Piotrek też i Maciek zaraz okulbaczyli konie i ruszyli dalej w drogę.

Rozdział szósty

W którym Piotrek się dowiaduje, kto był ów dziad z karczmy pod puszcza

Piotrek i Maciek, przybywszy do Knyszyna, znaleźli wygodną

gospodę u Żyda Efraima w rynku i cały dzień i noc następną
przepędzili tam wygodnie i spokojnie. Wywczasowali się też po tyłu
tarapatach i przygodach dostatecznie. Maciek, obrządziwszy konie,
nasypawszy im do żłobu obroku, jak się położył spać, to spał
jednym ciągiem cały dzień, aż go Piotrek na wieczerzę musiał
budzić. Spałaszowawszy wieczerzę ową, znowu legł i spał jak
zabity do rana nazajutrz.

Piotrek tymczasem, odpocząwszy sobie nieco, począł się o
Borki i ciotkę swoją Wiśniewską wypytywać Żyda Efraima, który był
bogacz nie lada, wielki kupiec zboża, i całą okolicę znał na wylot.
Mówił tedy Efraim, że w Borkach nigdy się nie przelewało, bo
ziemia tam licha, owies jeno rodzi, łąk niewiele, ale za to zarośli i
bagien jest dużo.

- Jeszcze to ta było jako tako - mówił Efraim, gładząc dużą
siwą brodę - dopóki pan Wiśniewski rządził, bo był gospodarz
zawołany i człek łebski, ale od czasu, jak Pan Bóg przypuścił na
niego szaleństwo, to wszystko idzie na marne.

- A dawno już, jak pan Wiśniewski oszalał?

- Będzie temu ze dwa roki.

- Iz czegóż to? Cóż to było?

- A cóż, dopust boży. Ludzie gadają, że z wielkiego strachu.

- Ze strachu?

- A tak, bo trzeba paniczowi wiedzieć, że Borki chociaż jeno o
dwie mile od Knyszyna oddalone, leżą w zapadłym kącie

największej puszczy. Sam dwór stoi na wyspie na jeziorze i jest jakoby twierdzą, gdy się most zdejmie. Toteż zbójcy, którymi przepelniona jest cała puszcza tutejsza, często tam przesiadują, i raz gdy wpadli, pan Wiśniewski tak się przestraszył, że aż oszalał.

- Jakże to może być, żeby tylu zbójców było? Czemuż pan Gniński ich nie wyłapie?

- Zali ja wiem. I niełatwo ich wyłapać, kiedy ich jest kupa, i we wszystkich wsiach mają wspólników. Raz to tu przyszło od samego króla jegomości wojsko kwarciane, z tysiąc ludzi, ale Szydło, bo tak się zwie herszt zbójów, osiadł we dworze u pana Wiśniewskiego, bronił się przez trzy dni i obronił się. Kto im ta co zrobi?

Wszystko to zaniepokoiło mocno Piotrka. Pytał się jeszcze o Żyda karczmarza pod borem na drodze od Tykocina. Efraim odrzekł tylko, że go zna, kiwał głową, wypytywał się, czy podróżni u niego byli, ale więcej nic powiedzieć nie chciał. Piotrek sobie myślał, że skoro Szydło tak często bywa w Borkach, to może i wtedy, gdy on tam bawić będzie, napaść, i strach go zdejmował na myśl spotkania się z dziadem z karczmy pod lasem. Pytał jeszcze się o Wołocha, którego wczoraj w nocy na ruinach królewskiego zamczku spotkali, lecz Efraim niewiele umiał o nim powiedzieć, zapewniał tylko, że służy on niedawno u pana Gnińskiego, ale co był za jeden, nie wiedział.

Z wielkim tedy niepokojem nazajutrz świtaniem wyruszyli Piotrek i Maciek w dalszą podróż. Drogę im wskazano szczegółowo

i zabłądzić się nie bali, tylko że droga ta szła ciągle lasem i w strachu byli, żeby ich gdzie Szydło nie napadł. Ale na szczęście spotkali kilka fur, jadących także do Borek z mąką i kaszą, i przyłączyli się do nich, a tym sposobem bez żadnej przygody, nad wieczorem samym przybyli do celu swej podróży. Maciek tylko gadał, że zdało mu się, jakby coś z boku parę razy się w lesie ukazało, niby człowiek, niby koń, ale nie był pewny.

Borki była to dzika i ponura miejscowość. Wieś, złożona z kilku chałup, czerniała na płaszczyźnie, dokoła otoczona wielkim borem, i przytykała do jeziora, na którego środku, na kępie zarosłej wysokimi topolami, widać było pękaty dach dworu i inne zabudowania gospodarskie. Słońce krwawo zachodziło i cały ten posępny krajobraz oblewało purpurą niby krwią. Z bagien i jeziora podnosiły się niezdrowe białe mgły i włóczyły się po polach niby szmaty mętne i brudne. Po moście chwiejącym się i skrzypiącym, z jedną tylko poręczą z boku, rzuconym na jezioro na długość może stu do stu pięćdziesięciu kroków, podróżni dostali się na koniec na wysepkę. Tu, przy moście, powitał ich najprzód wyrostek może siedemnastoletni, w białym płóciennym żupaniku i kapeluszu słomianym, z czekanikiem w ręku i dwoma olbrzymimi psami, które warcząc witały gości. Chłopiec ów skłonił się pięknie nadjeżdżającym i głosem jasnym i czystym spytał:

- Kogóż mam honor witać w domu mego ojca?

- Jam jest Piotr Rzecki, a waćpan, widzę, Wiśniewski?

- Piotruś! - zawołał wesoło chłopak - a toż mi matka ciągle o tobie gadała. Jam jest Stach Wiśniewski, aleś ty o mnie nie słyszał, twój cioteczny. Dopiero się to matka ucieszy. Leżeć, Pijawka! Do budy, Zabój! Hej! Jest tam kto? Konie wziąć! A to twój pacholek?

- Tak. Maciuś, pilnuj koni.

- Bądź spokojny, ja sam koni dopilnuję. Zdrożony być musisz.

No, proszę do dworu. Jak wiesz, ojciec chory, więc ja matce w gospodarstwie dopomagam, ale, szczerze mówiąc, przykrzy mi się... ale o tym potem. Proszę do dworu.

Piotrkowi bardzo się podobała szczerza i otwarta natura Stacha Wiśniewskiego. Jego duże jasne, niebieskie oczy wesoło w świat patrzyły. Szli krótką aleją, wysadzaną topolami włoskimi, i znaleźli się na dziedzińcu dworskim, po którym przechadzał się dziwny mąż. Był on wysoki, a chudy jak szczapa i na głowie miał hełm starożytny, zardzewiały zupełnie, ale tu i ówdzie pod krwawo zachodzące słońce, krwawo błyszczący. Spod tego hełmu, nasuniętego mocno na czoło, patrzyło dwoje oczu małych, głęboko zapadłych, o wejrzeniu dzikim i strasznym. Mąż ten miał brodę siwą, zapuszczoną aż do pasa; ubrany zaś był w dostatni żupan bernardyńskiej barwy, długi aż do kostek i przepasany żelaznym łańcuszkiem. U tego łańcuszka wisiał z boku ogromny miecz prosty i starożytny, jakiego pod owe czasy wcale już nie używano, a jak się później Piotrek dowiedział od Stacha, miecz ten był drewniany, boć szalonemu innego dawać nie można było. Obok miecza wisiał na

owym łańcuchu wielki krzyż z Panem Jezusem. Krzyż był czarny, a Pan Jezus z białej kości wyrzeźbiony. Mąż ów chodził po dziedzińcu dworskim, z rękami w tył założonymi, i zdawał się być w poważnej pograżony zadumie.

- To mój rodzic - rzekł Stach - proszę cię, Piotruś, zgadzaj się na wszystko, co on będzie chciał. Szaleństwo jego jest spokojne, lecz drażnić go nie należy.

Zbliżywszy się tedy do chodzącego wciąż w zamyśleniu starego Wiśniewskiego, Stach zdjął z głowy kapelusz i pokłoniwszy się ojcu do kolan, rzekł głośno:

- Ojczy, to Piotruś Rzecki!

Tedy mąż szalony zatrzymał się, wpatrzył swymi zamglonymi oczyma w gościa i podnosząc ów wielki krzyż z Męką Pańską, wiszący na łańcuszku, począł nim stojącego z gołą głową Piotrka błogosławić:

- W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen - mówił głosem grobowym.

Obaj chłopcy przeżegnali się, a szalony spytał:

- Z pokójemli przychodzisz czy z wojną?

- Z pokojem - odrzekł Piotrek.

- Tedy idź w pokoju.

To powiedziawszy, opuścił z głośnym brzękiem łańcuszka krzyż i założywszy znów ręce za siebie, odwrócił się i krokiem mierzonym ruszył dalej.

- Chodźmy teraz do matki - szepnął Stach.

Weszli więc na ganek, ale za ledwie znaleźli się w dużej sieni, rogami jelenimi przyozdobionej, gdy doleciał ich krzykliwy głos niewieści.

- Magda, klempo jakaś, czego stoisz i wybałuszasz ślepie?!

Chcesz, żebym ci karku nakręciła?! Skaranie boże - z tymi próżniakami! Antoś, połóż mi to zaraz! Czekał, natrę ci ja uszów!

W tejże chwili drzwi boczne otworzyły się z trzaskiem i wypadł przez nie chłopiec może ośmioletni, z rozczochraną czupryną, zamorusany jak nieboskie stworzenie, a za nim kobiecina mała, chuderława, w chustce na głowie, w jubce z samodziału.

Obaczywszy gościa, zatrzymała się nagle i swym głosem krzykliwym zapytała:

- A to kto?

- Mamo - rzecze Stach - to Piotruś Rzecki.

- Piotruś! - zawołała Wiśniewska, i wyciągając wyschłe ręce, objęła Piotrka i całować go poczęła, i odsuwać od siebie, i przypatrywać mu się, i wołać, zalewając się łzami: - Piotruś, mój bratanek! A jak zmężniał, jak wyrósł! wykapany konterfekt nieboszczyka Damiana, jakby z trumny wstał! A cóż to w Rzece słyhać? Puściła cię macocha?! A, mój sokoliku, moje oczko! Płakała głośno i ocierała zalane łzami swe biedne, zmęczone, spłowiałe oczy.

Tymczasem do sieni nazbiegała się gromada dzieci: siedmioro

tego było, samego drobiazgu, między nimi starsza była po Stachu może dwunastoletnia dziewczyna. Antoś, którego uszy dzięki pojawieniu się gościa ocalały od nieprzyjemnej katastrofy, stał z boku i, dłubiąc palcem zawzięcie w nosie, przypatrywał się całej tej scenie.

Wprowadzono wreszcie gościa do świetlicy i pani Wiśniewska rzekła:

- Mój robaczku, głodny być musisz i zdrożony. Zaraz dam wieczerzę.

I wybiegła, a zaraz rozległy się jej donośne nawoływania na Magdę i Kaśkę, wykrzykniki „klempo”, „próżniaku”, „darmozjadzie”.

Wreszcie zjawiała się Magda, tęga, ale brudna dziewczyna, zastawiono wędliny, mleko kwaśne, miód w plastrach, śliwki suszone na patyczkach, pierniki, i gdy Piotrek zabrał się do jedzenia, dopytywano się go o wszystko szczegółowo. Skoro odpowiedział, że opuścił Rzekę stanowczo i rusza w świat szukać szczęścia, pani Wiśniewska załamała ręce.

- Jakże to? Ta niegodziwa macocha wydziedziczyła cię zupełnie?

- A cóż? Przez pamięć rodzica wojować z nią nie chcę, a w Rzece za nic nie ostanę. Na wojnę się ma, zaciągnę się do wojska i sam sobie los swój stworzę.

Gdy to mówił, to Stachowi aż oczy błyszczały.

- Mamo - rzekł - Piotrek ma słuszość. I ja bym to samo

uczynił, gdybyście mnie tylko puścili.

- Patrzajcie go! - zawołała pani Wiśniewska - taki smyk i już mu się wolności chce.

- A przecie Piotruś niewiele ode mnie starszy? A co ja tu będę w Borkach siedział? Puśćcie mnie, matuś, z Piotrkiem.

- Co to o tym po próżnicy gadać! Nie przeszkadzaj! Opowiadaj, Piotrek, co dalej?

Więc Piotrek opowiadał swą podróż, jak wyjechał z Rzeki, jak przed Puszcą Knyszyńską wstąpił do karczmy, jak go Żyd chciał oszukać, a dziad namówił, by dalej jechał, jak tego dziada Maciek w lesie pobił i związał.

- O, laboga! - klasnęła w ręce pani Wiśniewska - coście wy najlepszego uczynili! Gadaj mi zaraz, jak ten dziad wyglądał?

Gdy go Piotrek opisał, jak mógł najdokładniej, Stach zerwał się i zawołał:

- To sam Szydło!

A pani Wiśniewska załamała ręce i zawołała żałośliwie:

- Będzie tu teraz, będzie! Zabiją cię, zamęczą, na pal wbiją! O, laboga! laboga!

- Niech no matuś nie lamentuje - ozwie się Stach - tu trzeba wszystko dokumentnie zbadać. Opowiadaj, Piotruś, dalej.

Więc Piotrek opowiadał, ale gdy przyszedł do tego miejsca swej podróży dzisiejszej, w którym Maćkowi się zdawało, jakoby w lesie ich ktoś szpiegował, Stach zawołał:

- Ani chybi, wiedzą, że tu jesteście! Zaraz ich tu będziemy mieli. Chwili czasu nie ma do stracenia. Chodź ze mną, Piotruś!

Nagle drzwi z trzaskiem się rozwarły i ukazał się w nich mąż szalony. Wszedł wolno, spojrzał dokoła, podniósł swój krzyż do góry i błogosławił nim wszystkich. Potem spuścił go z brzękiem i wzniosłszy lewą rękę do góry, rzekł:

- Od boru wiatr złe wieści niesie.

I założywszy ręce za siebie, chodzić po izbie ciężko i w ponurym milczeniu.

Rozdział siódmy

W którym jest powiedziane, jak śmigownica przemówiła do zbójów

Gdy Stach z Piotrkiem wypadli na podwórze, już ściemniało się zupełnie i białe mgły z jeziora i bagnisk pokrywały sobą wszystko. Chłodno było i wilgotno. Zarazem na wstępie napotkali biegnącego ku dworowi Maćka:

- Paniczu! - zawołał - ludzie tutejsi powiadają, że zbóje jadą!

Ja sam widziałem konnego, pędzącego od lasu. Trzeba nam chyba uciekać.

Ale już tam grzmiał donośny głos Staszka: - Hej tam, zerwać most! Żywo! Jasiek, Kuba, Wojtek, z rusznicami i łukami na wał!

Wszyscy zbroić się! Stary Grzela harmatkę niech wytoczy i nabije siekańcami! Spieszyć się chłopcy, żywo!

Wydając te rozkazy, biegł aleją, wysadzaną topolami, ku

mostowi. W całym obejściu dworskim zawrzał ruch jak w ulu. Za Staszkiem pędził Piotrek i Maciek, a za nimi trzech młodszych parobków z siekierami i toporami. Tak nadbiegli na jeziorko i na most, który już trzej parobcy przebiegli i od strony przeciwnej rąbali.

Maciek, widząc to, zawołał:

- Żebym miał siekierę, tobym im pomógł! Staszko wskazał mu na pobliską szopę, gdzie były siekiery, i wołał:

- Przynieś trzy, bo trzeba most prędko zerwać!

Jakoż gdy Maciek przyniósł, czego żądano, sześciu chłopaków teraz most rąbało, tak że w ciągu pół pacierza już go w części większej nie było. Nietrudna to zresztą sprawa była, gdyż most był lichy, z desek układany na cienkich belkach, widocznie umyślnie, by go w każdej chwili zerwać można było. Maciek wywijał siekierą i rąbał tak zawzięcie, że sam więcej zrobił niż pozostali pięciu. Stach co chwila podnosił głowę i wpatrywał się w brzeg przeciwny, starając się przebić wzrokiem mgłę, ale nic tam widać nie było, tylko psy we wsi ujadały zawzięcie.

Nagle, wprost zerwanego do połowy mostu, ukazał się na koniu jeździec. Od zachodu był na niebie pas jasny zorzy wieczornej i na tle tym postać jeźdźca rysowała się wyraziście. Widać było białą jego opończę i kołpak na głowie.

- Paniczu! - zawołał Maciek - to Wołoch!

- A Wołoch.

- Hultaj ostatni! I on nas szpiegował! A, żebyśmy miał rusznicę,

tobym rakarzowi wpakował w łeb psi ze trzy grankulki.

- Cóż to za Wołoch? - spytał Stach. Piotrek zabierał się już do odpowiedzi, gdy Stach zrobił znak ręką i rzekł:

- Cicho, on coś mówi.

Jakoż wśród milczenia panującego w naturze, rozległ się donośny, śpiewny głos jeźdźca:

- Hej tam, słuchajcie!

- Słuchamy! - huknął Stach.

- Mam poselstwo do pani Wiśniewskiej! - wołał jeździec.

- Tu nie ma pani Wiśniewskiej!

- A kto mówi?! Czy nie młody panicz Wiśniewski?!

- Tak, czego chcecie?!

Wołoch przez chwilę milczał, jakby się nad czymś namyślał, wreszcie zawołał:

- To wszystko jedno! Posłem jestem atamana Szydły!

- Atamana - mruknął Maciek - zbójcecki ataman.

- Cóż chce ataman Szydło?! - spytał Stach.

- Ataman Szydło przesyła pani Wiśniewskiej pozdrowienie i domaga się, żeby mu wydała dwóch podróżnych, którzy do dworu dziś przed wieczorem przybyli!

- Cóż więcej?! - pytał Stach.

- Oraz żeby do lasu dostawiła jednego wołu, trzech baranów, dziesięć bochenków chleba, korzec krup i trzy garnce gorzałki!

- Cóż więcej?!

- Więcej nic, jeno ataman Szydło zapowiada, że w razie niespełnienia tych jego rozkazów, dwór weźmie nocą, spali i wszystko, co żyjące, wytnie do nogi, a młodych podróżnych na pal wbić każe!

- Panie pośle - zawołał na to Stach - powiedz atamanowi Szydłu, że młodzi podróżni są moi krewniacy i goście; ataman powinien wiedzieć, że gości się nie wydaje!

- Więc cóż?!

- A nic, podróżnych nie wydam i do lasu ani ćwierci bochenka, ani jednej krupy, ani kawałka barana nie dostawię, a jak napadniecie, bronić się będę!

- Panie Wiśniewski, zastanów się, co czynisz!

- Powiedz atamanowi, że jak go schwytam, to go obwiesić każę, tu na tej suchej wierzbie. Powiedz mu też, o czym on widać nie wie, że onegdaj pan Gniński przysłał mi harmatę, którą stary Grzela nabija siekańcami. Nie radzę wam próbować smaku!

- Panie Wiśniewski, nie zdzierżysz! Nas jest dwudziestu, uzbrojonych w rusznice i łuki, a was i pięciu może nie ma!

- Ilu nas jest, to jest, ale bronić się będziemy!

- Panie Wiśniewski, zastanów się! Mamy ze sobą łódź i łącno przez jezioro przepłyniemy!

- Przepływajcie sobie, skoro chcecie! A tymczasem, panie pośle, umykaj, bo strzelać każę!

Usłyszawszy to Wołoch skręcił konia, podniósł rękę do góry i

cisnął jakieś przekleństwo, którego dosłyszeć już nie można było,

bo parobcy dalej rąbać most zaczęli.

- Chodźmy teraz przygotować się do bitwy - rzekł Stach do

Piotrka - parobcy już sami most do reszty zniosą.

Gdy szli, Piotrek się spytał:

- Więc będziemy się bili?

- A cóż innego być może? Przecie was nie wydam?

- Tom wam narobił bigosu! - zawołał Piotrek. - Ale Bóg

świadkiem, że nie moja wina. I nie martwi mię bitwa, bo na takiej

wypie przed trzy razy silniejszym, niż zbójcy, nieprzyjacielem

obronić się można, ale co będzie potem?

- A cóż będzie potem?

- Słyszę, że u was zbójce częstymi są gośćmi i że wskutek tego

musieliście z Szydłą wejść w znajomość i przyjaźń.

- No, no, już przyjaźń. Juźcić bywał on nieraz w Borkach ze

swą bandą i trzeba go było przyjmować, kiedy się obronić nie

można było, ale do przyjaźni jeszcze daleko. Lecz czego ty się

lękasz?

- Widzisz, Stachu, ja sobie wyjadę i tym sposobem odejmę

Szydłu pretekst do napaści.

- Nie, bo raz musi się to skończyć. Szydło nam niby nic nie

robił, nie zabijał ani też rabował, ale ilekroć przybył, trzeba mu było

albo parę baranów zarznąć, albo parę wieprzaków, albo wołu, nie

mówiąc już nic o kurach, gęsiach, kaczkach, chlebie i gorzałce.

Bywało, nieraz przyśle swego hajduka, aby mu duchem dostawić do takiego a takiego miejsca w lesie tyle mięsa, tyle chleba, krup kaszy, gorzałki. I trzeba było dostawić, konie zaprzęgać, choćby zboże się na pniu sypało lub zamieć śnieżna była taka, że psa żal było wygnać na dwór. To wszystko nas zrujnowało. Zali byłaby u nas taka bieda, jaka jest, żeby nie ten zbój ostatni, Szydło? Otóż musi się to już raz skończyć. Pan starosta na moje prośby przysłał mi armatę i pięciu strzelców swoich, którzy tu mają siedzieć i bronić mię. Szydło o tym nie wie, że z owymi strzelcami, z wami i z moimi ludźmi mam teraz czternastu oczajduszów, którzy nikogo na świecie, a cóż dopiero Szydły, się nie ulęką.

Tak mówiąc, przyszli do niewielkiego wału, usypanego nad samym jeziorem. Na wale tym stała stara szwedzka śmigownica, długa i wąska. Siwowłosy Grzela, który niegdyś służył w artylerii koronnej i podobno jeszcze pod panem Czarnieckim wojował ze Szwedami, nabił armatę ową siekańcami, a w krzakach żarzyły się węgle i przy nich lont leżał, gotowy do zapalenia. Tutaj też było pięciu strzelców starosty Gnińskiego, wszyscy w barwie gorącożółtej z czarnym, w kołpakach, z rusznicami, chłopcy wąsate, groźne, wysokie jak dęby.

- Pilnujcież się - mówił Stach - jak się zbóje ukaza, palcie zaraz, a mierzcie głównie w Szydłę, Grzela też niech ze swej pukawki huknie.

- Popstrzę ja ich moją pukawką, popstrzę - mruknął Grzela.

Tak obeszli całą wyspę, gdzie co kilkanaście kroków stał parobek na straży, ten z rusznicą, ów z pistoletem, inny jeno z łukiem. Wyspa była niewielka i poza dworem gęsto zarosła sadem owocowym i wszelkiego rodzaju krzakami. Obeszli całą dokoła, w towarzystwie dwóch wielkich psów: Pijawki i Zaboja, i wrócili do wału; most już był zupełnie zerwany, a Maciek już zaprzyjaźnił się ze wszystkimi i gadał dużo, i rej wodził.

- Panicz! - wołał - zbóje już idą. Słysząc po rosie ich kroki!

W rzeczy samej, gdy wsłuchali się dobrze, lekki wietrzyk, dmący od lasu, przynosił tętent koni, skrzyp wozu i gwar kilkunastu ludzi.

- Tak, to oni. Łódź wiozą na wozie - szepnął Stach.

Ze dworu przybiegła w tej chwili dziewczka i przyniosła cztery łuki tatarskie z kołczanami pełnymi, i mówiła:

- Pani to przysłała i sama przyjdzie, jeno dzieci pośpi.

Zaraz też Piotrek i Maciek uzbroili się w te łuki, a Stach stał nieruchomy na wale i wpatrywał się w mgły, włóczące się nad jeziorem, i wsłuchiwał się w ów gwar zbójcki. Psy wciąż ujadały na wsi zawzięcie, Zabój zaś z Pijawką ułożyły się na trawie nad brzegiem i węszyły, i głucho warczały.

Na szczęście mgła powoli rozchodzić się zaczęła. Lekki wietrzyk, który nad wieczorem się zerwał, rozniósł ją i widać teraz było doskonale brzeg przeciwny i wieś czerniejącą w dali. Nagle rozległ się tętent pędzących cwałem koni i na brzegu stanęło dwóch

jeźdźców: zatrzymali się i wpatrywali w wyspę, która ciemna, czarna, osłonięta mnóstwem drzew, nie pozwalających widzieć, co się w jej wnętrzu dzieje, musiała ponure wywierać wrażenie. Stach zakazał surowo, żeby nikt nie śmiał się odezwać. To milczenie, panujące na wyspie, nie podobało się snadź jeźdźcom, bo stali długo, coś między sobą szeptali i rozmaite ruchy odbywali.

- Ten w białej opończy to Wołoch - szepnął Maciek.

- A ten drugi to sam Szydło - odrzekł Stach i zwracając się do

Grzeli, szepnął: - Wyrychtujcie na nich waszą pukawkę, Grzelo, i palcie w imię boże.

Właśnie nadciągnęli piechotą i inni zbóje i zaroilo się od nich na brzegu. Grzela, który już od ukazania się dwóch jeźdźców rychtował śmigownicę na nich, skoczył teraz żwawo w krzaki, chwycił lont gorejący i przytknął do panewki. W tejże chwili błysnęło, zagrzmiała harmatka, rój siekańców ze świstem przeleciał nad jeziorem i rozległ się straszny krzyk w kupie zbójów. Zrazu nic nie było widać, bo dym zasłonił wszystko, a śmigownica od silnego naboju potoczyła się wstecz z wału i wywróciła się, przy czym, zawadzwszy o Grzelę, obaliła go na ziemię.

Stary podniósł się zaraz, mruczając:

- Bodaj to wciurności z taką psią harmatą. Dalej, chłopcy, trzeba tę źmijkę ustawić - rozkazywał.

Rzucono się pomagać mu, a tymczasem Stach, Piotrek i

Maciek ciekawie patrzyli na brzeg przeciwny. Gdy dym opadł, obu

jeźdźców nie było widać, a zbóje latali jak opętani i zaraz też poczęli palić z rusznic i strzelać z łuków, ale na szczęście kule i pociski po większej części nie donosiły. Wśród tego z wielkim trudem zdołano śmigownicę ustawić na wale i gdy Grzela ją nabił, wyrzutował i jeszcze raz dał ognia, to znów olbrzymia wrzawa się podniosła i zbóje jak stado owiec pierzchnęli. Słysząc było jeszcze jakiś czas ich krzyki, nawoływania, turkot wozu, a potem i to ucichło, i poważna, milcząca noc lipcowa zaległa senną ziemię.

Rozdział ósmy

Jako Piotrek, przybywszy do Obór, chciał z nich zaraz wyjeżdżać

Noc ta przeszła spokojnie, choć przepędzono ją wśród wielkiej czujności, gdyż lękano się powrotu zbójów, posądzając ich, że udali jeno ucieczkę, by z innej strony napaść na wyspę. Ale podejrzenia te nie sprawdziły się, nic nie zakłóciło ciszy nocnej. O świcie Stach wysłał dwóch parobków na zwiady. Gdy powrócili, donieśli, że widzieli na brzegu, gdzie wczoraj stali zbóje, mnóstwo śladów krwi, a ludzie we wsi gadali, że wieziono na wozie kilku zabitych i że banda uciekała co sił, klnąc i złorzecząc. W ciągu dnia rozeszła się pogłoska, że od pierwszego strzału śmigownicy zginął sam Szydło, ale inni mówili, że to nieprawda. Jednym słowem, nic pewnego dowiedzieć się nie można było.

Piotrek zabawiał w Borkach jeszcze parę dni. Od ciotki, ciągle jęczącej, płaczącej, od rana do nocy dreptającej po domu,

dowiedział się, że stryj jego, do którego teraz chciał jechać, mieszka pod Karczewiem nad Wisłą, we wsi Obory, niedaleko samej Warszawy.

- Bogiem a prawdą, mój Piotrusiu - mówiła pani Wiśniewska - nie masz ty tam, niebożę, po co jechać. To stary kutwa i liczykrupa.

Kiedy dwa roki temu Pan Jezus zesłał to straszne nieszczęście na mojego męża, a Szydło po bitwie z kwarcianymi zniszczył z kretesem nasz dobytek, to, mój robaczku, myślę sobie, pojedę do Jurasia Rzeckiego, przecie to mój brat stryjeczny i poproszę go, by mi też dopomógł w mej niedoli i nieszczęściu. Więc tedy pojechałam. Kawał to drogi, na końcu świata, z ostatniego grosiwa ci się, niebożę, wysupłalam, konie zmęczyłam, trzy dni i trzy noce się wlokłam, kobieta, sama jedna, ale nareszcie dobiłam się do owych Obór. Wieś ci, robaczku, piękna, ani słowa; ludzie też gadają, że pan Rzecki bogacz wielki, choć to tam nieszlacheckim sposobem dorobił się owej fortuny.

- Jak to, nieszlacheckim?

- Ano, świnie ci pasał we wsi, potem je pędził do Warszawy i sprzedawał, i na tych ci świniach, z przeproszeniem, zrobił majątek.

Westchnęła żałośliwie, skrzyczała Magdę, przesuającą się po izbie, i tak dalej mówiła:

- Przyjeżdżam ci do dworu; stary, wałący się, słomą kryty, słupa jednego na ganku nie ma, tylko jakiś, nawet nie ociosany, go podpiera, okna pęcherzem pozaklejane, rudera. Sam Rzecki w

kubraku wyszarzanym, w butach łatanych, zarośnięty, nie ogolony, brudny, strasznie się skrzywił, gdym mu powiedziała, kto jestem, poczęstował mię grochem bez okras, koniom sieczki dać kazał, bo mówił, że owsa nie ma, i w końcu dał mi talara. Nie masz ty ta, niebożę, mój Piotrusiu, po co jechać.

- Ja też, ciotko - odrzekł Piotrek” - nie jadę do stryja po wsparcie, jeno chcę poznać familię, której nie widziałem nigdy.

- Ej, co to za familia, albo biedota, taka jak ja, albo sknery i świniopasy.

Nie powstrzymywało to jednak Piotrka, bo miał on taką naturę, że jak sobie co raz postanowił, to musiał dokonać. Wybierał się więc w drogę i narady ciągle odbywał ze Stachem.

- Pojechałbym ja z tobą, Piotruś, z wielką ochotą w świat - mówił Stach - szukać szczęścia. Ludzie o wojnie gadają z Turczynem, aż mi się na płacz zbiera, gdy sobie pomyślę, że gdy inni za Rzeczpospolitą bić się będą z poganinem, ja tu grykę siać i ze zbójami ujadać Się muszę. Pan starosta Gniński także idzie na wojnę i ludzi zbiera, a gdy go nie będzie, to Szydło dopiero prawdziwym panem tu oстане. Nie mogę więc jechać, nie mogę. Jakże samą matkę zostawić z ojcem szalonym i z tym Szydła, który może zginął, a może żyje i zemstę straszną przygotowuje? Rok temu pana Luboradzkiego w Downarach, za to, że mu się raz okoniem stawił i ludzi pokaleczył, napadł z nienacka w nocy, dwór, stodoły, konie, bydło, owce spalił, jego samego z żoną i dziećmi

zamknął we dworze i także żywcem upiekł. Okrutny to zbój. Nie mogę więc matki samej zostawić i rozmyślam sobie: jak ty, Piotrek, pojedziesz przez puszcę? Bo nim się wydobędziesz z boru, to cztery mile najgęstszym lasem będziesz musiał jechać.

- Cztery mile?

- Tak. I ja taką plantę ułożyłem. Wezmę trzech parobków i jednego strzelca i świtanem samym wyruszymy w siedmiu.

Odprowadzę cię aż do Białegostoku, a potem wrócę. Konie wypoczęte i dobrze odkarmione jednego dnia zrobią te osiem do dziewięciu mil i na noc w Borkach już będę.

- Ha, czyń, Stachu, jak uważasz, choć mógłbym sam z Maćkiem jechać i jakoś radę bym sobie dał.

- Ale co też ty mówisz? To nie może być. Ubiliby cię zbójce pewnikiem, bo niewątpliwie mają tu oni we wsi swych szpiegów i wiedzą dobrze, co się w Borkach dzieje.

- Ano, skoro tak, to jak ty odjedziesz, gotowi napaść na dwór.

- Nie, bo najprzód będzie to dzień, a oni dniem nigdy napaści nie czynią, a potem zostanie tu z Grzelą, który koło harmaty chodzić umie, zawsze kilku ludzi, to oni łącznie zbójów odeprą.

Stało tedy na tym, że za dwa dni Piotrek z Maćkiem w towarzystwie Stacha i czterech jego ludzi z Borek wyruszą. Przez ten czas przygotowywano się do podróży, konie karmiono, poprawiano kulbak, a pani Wiśniewska chleb piekła i wieprzaka zabiła, przygotowując kiełbasy i kiszki, którymi chciała Piotrka

zaopatrzyć na drogę. Dochodziły też uparcie wieści, że Szydło zginął, co dodało otuchy młodzieńcom, zwłaszcza Stachowi, który tym bezpieczniej mógł dom na kilkanaście godzin opuścić.

Wreszcie trzeciego dnia o świtaniu samym, jeszcze przed wschodem słońca, wyruszono. Ciotka Wiśniewska spłakała się, wyściskała Piotrka, konia luźnego opakowała wszelkiego rodzaju prowiantami, a pan Wiśniewski swym wielkim krzyżem błogosławił odjeżdżających.

Las szczęśliwie przebyli, nie napotkawszy w nim żywej duszy, i koło południa dobito do Białegostoku. Tu musiano konie popaść; Stach, żeby wracać co prędzej do Borek, Piotrek, by dalej jechać. Żyd karczmarz, u którego stanęli, gadał, że tu u nich od dwóch dni mówią, iż Szydło w jakiejś bitwie zginął, ale była to tylko wieść, jak wszystkie dotąd słyszane, niczym nie udowodniona. Po parogodzinnym odpoczynku pożegnano się i wyruszono w dwie różne strony. Spłakał się biedny Stach, tak mu żal było rozstawać się z Piotrkiem, tak pragnął jechać z nim, a wracać musiał.

- Żebym wiedział na pewno, że Szydło zginął - mówił - tobym odesłał ludzi do Borek, a z tobą, Piotruś, tak jak jestem, puściłbym się w świat.

Ale ponieważ co do Szydły nic pewnego nie wiadano, więc obowiązek dobremu synowi nakazywał wracać, by pilnować matki i rodzeństwa. Wracał tedy Stach z żalem głębokim w duszy, a Piotrek i Maciek po dawnemu samowtór ruszyli wielkim gościńcem do

Siedlec. Jechali teraz krajem otwartym, przerywanym niewielkimi laskami, ludnymi, zasianymi wsiami. Żniwa były w całej pełni i z drogi widać było wielkie łany zbóż zżętych, układanych w brogi lub zwożonych do stodół. Napotykali mnóstwo podróżnych, panów, wojowników, ciągnących do Warszawy, gdzie podobno król wielkie wojsko zbierał, by pójść z pomocą cesarzowi niemieckiemu, którego państwo Turczyn napadł i groził zagładą całemu światu chrześcijańskiemu.

- Ej, paniczu - gadał, słuchając tego, Maciek - lepiej my nie jedźmy do onych Obór, bo się spóźnimy na wojnę. Przyłączmy się oto do tych wojaków i ruszajmy do Warszawy.

- To nie może być, powiadam tobie: bo najprzód ja muszę być u mojego stryjeczego, jak mi rodzic przykazywał, a potem ludzie gadają, że król nie wyruszy jak za miesiąc na Turczyna. Mamy więc czas.

- A jak się spóźnimy, to co będzie? Despekt i nic więcej.

- Nie spóźnimy się.

Tak rozmawiając ze sobą, wsłuchując się w opowiadania i wieści o wojnie, którymi cały kraj brzmiał wtedy, po pięciu dniach podróży dobili się do Karczewia. Odpocząwszy sobie tu nieco, przepytawszy się o drogę do Obór, wyruszyli tam i stanęli w owej wsi nad wieczorem. Wieś była duża, ale nędzna. Jadąc, widzieli chałupy chłopskie, biedne, walące się, ze strzechami dziurawymi, ludzi wychudłych, ubogich, obdartych, co wszystko niedobrze

mówiło o dziedzicu. Dzieci wiejskie na widok jeźdźców uciekały ze strachem i kryły się za węglami, a chłopcy spode łba spoglądali i niechętnie wskazywali dwór.

Dwór ten stał za wsią, na uboczu, otoczony kilkunastu uschłymi, z obdartą korą lub zrąbanymi do połowy topolami i wierzbami. Płot, otaczający go, leżał w części na ziemi, a gromady spasłej nierogacizny obcierały się o niego lub leżały na środku dziedzińca w cuchnącej i błotnej kałuży. Sam dwór, niegdyś duży, był kryty słomą poszarpaną, zwieszającą się na dół, i wiechciami. Tak jak ciotka Wiśniewska opowiadała, z czterech słupów, na których ganek się opierał, brakowało jednego i zastępował go prosty, nie ociosany drąg. Cała połowa domu widać była nie zamieszkana, bo okna były deskami pozabijane, a w drugiej brakowało mnóstwo szyb, gałganami pozatykanych i pęcherzem pozaklejanych. Kilka psów owczarskich, chudych jak nieszczęście, z sierścią nastroszoną, włóczyło się po podwórzu i z trzodą użerało się o kąski jadła, a gdy poczuło obcych, z wrzaskliwym ujadaniem rzuciło się naprzeciw nich.

Na tę wrzawę z czworaka obok wypadła jakaś dziewczka zamorusana i brudna, popatrzyła chwilę i uciekła; a potem na ganku dworku ukazał się jakiś mężczyzna olbrzymiego wzrostu, w kitlu ze zgrzebnego płótna, rzemieniem przepasany, w butach juchtowych i kapeluszu słomianym na głowie. Stał i, przyłożywszy rękę do oczów, przypatrywał się ciekawie posuwającym się stępą jeźdźcom.

Gdy już zajechali przed ganek, zeszedł po skrzypiących i na pół przegniłych schodach i głosem grubym i szorstkim zapytał:

- A czego to?

Piotrek, domyślając się w owym kitlowym jegomościu pana domu i swego stryjecznego, zdjął czapkę z głowy, zeskoczył z konia i kłaniając się rzekł:

- Jam jest Piotrek Rzecki.

- Rzecki? Jaki Rzecki, mopanku?

- Syn Damiana Rzeckiego z Rzeki pod Łomżą.

- Aha, a czymże ty udowodnisz, mopanku, żeś Rzecki? Bo

teraz włóczy się mnóstwo wszelkiego hultajstwa, bo znów o jakiejś głupiej wojnie gadają. Czymże udowodnisz, żeś Rzecki?

Nie podobało się to Piotrkowi, więc zawrócił i, kładąc nogę w strzemię, ozwie się:

- Niczym, i ja też nie myślę udowadniać tego. Skoro mi stryj na słowo nie wierzy, to sobie pojedę z Panem Bogiem.

- Hm, czekaj no. Jakże to tak pierwszemu lepszemu, mopanku, uwierzyć, że on Rzecki?

- Ja nie jestem pierwszy lepszy, jeno prawdziwy Piotrek Rzecki, a jeśli kto nie wierzy, to padam do nóżek.

Siedział już na koniu i krzyczał na Maćka:

- Zawracaj, nie mamy tu co robić!

- Ha - rzekł na to kitlowy jegomość - jak sobie chcesz, ale radzę ci, mopanku, ostań. Rozgadamy się, to i prawdy się dobijemy.

Ja bo już żadnego z krewniaków dawno nie widziałem i rad bym też coś o nich usłyszeć. No, no, nie sierdź się, ale zleź z konia. Jeżeliś Rzecki, to ja twój stryjek i posłuszeństwo mi winieneś. Zsiadaj ze szkapy, mopanku.

Piotrek przywykły w domu do karności i uszanowania dla woli starszych, acz zły i niekontent, zsiadł z konia i oddawszy go Maćkowi, poszedł za stryjkiem do dworu. Maciek, któremu nie dano żadnego rozkazu, stał, stał jakiś czas, oglądając się dokoła, czy kto nie zjawi się i nie zaprowadzi go do stajni, ale gdy wkoło pustka była, a psy wciąż ujadały, powlókł się w bok i natrafił na koniec na stajnię i parobka.

- Gdzie tu konie postawić? - spytał.

- Tu nie ma gdzie stawić. Uwiąż se u płotu.

- A obrok?

- U nas nikomu obroku się nie daje.

- A macie go?

- Jest ta trocha.

- No, to daj.

- Bez przykazania dziedzica nie dam. Słyszac to, Maciek zaklął pod nosem, dobył własnego obroku, którego jeszcze miał trochę, rozkiełznał konie, popuścił popręgów, ale nie rozkulbaczył, i ległszy w cieniu na trawie, czekał na Piotrka i przypatrywał się temu osobliwemu gospodarstwu i państwu oborskiemu.

Rozdział dziewiąty

Jak Piotrek, nie chcąc Rzecki sprzedać, spotkał na promie

Wołocha

Tymczasem Rzecki poprowadził Piotrka do wnętrza dworu.

Przez sień ciemną, cuchnącą i wilgotną wpuścił gościa do świetlicy.

Była to izba duża, ale mroczna, najprzód od brudu, a potem od

tego, że większość szyb w oknach była pozaklejana błonami.

Sprzętów tu było niewiele, a te, które stały, były zbieraniną

najrozmaitszą i w części połamaną. Podłoga była wychodzona i

dziurawa, pokryta grubą warstwą błota zeschniętego i kurzu. Rzecki

wszedł tu w kapeluszu i wcale go z głowy nie zdjął, usiadłszy na

jakimś trzeszczącym zydlu. Zaprosił on Piotrka także do siedzenia i

ze zrećnością instygatora koronnego począł go badać

szczegółowo:

- No - rzekł w końcu - widzę, monpanku, żeś ty prawdziwy

Piotruś Rzecki. Skoro tak, to się napijemy, bo cię też zgaga piec

musi po drodze w taki skwar. Hej, Weronika!

Na krzyk ten i kłaśnięcie rozgłośnie w olbrzymie łapy, jakimi był

obdarzony dziedzic Obór, zjawiła się stara, brudna kobieta, istna

wiedźma, obszarpana i zerkająca złymi oczami.

- Przynieś no nam butelczynę podpiwku - rozkazywał Rzecki, a

gdy baba wyszła, dodał, zwracając się do Piotrka: - Młodym to ta

wino szkodzi, a podpiwek jest dobry, bo spędza humory na dół.

Przy tym, powiadam ci, mój bratańcze, u mnie bieda, monpanku,

taka, że mię na wino nie stać.

Piotrek nic nie odpowiedział, bo i cóż miał odpowiedzieć? Był zły i niezadowolony z całego tego przyjęcia, że go wzięto za jakiegoś oszusta i dopiero po indagacji uznano w nim prawdziwego Rzeckiego. Tymczasem Weronika przyniosła dzbanek gliniany owego podpiwku i postawiła go, spoglądając podejrzliwie na Piotrka, oraz dwa grube z zielonego szkła kubki. W kubki te gospodarz nalał napoju, trącił się i pić począł. Piotrek skosztował i skrzywił się, bo były to proste drożdże, rozcieńczone wodą, ale wypił przez grzeczność. Za to gospodarz z wielkim smakiem wysączył wielką szklanicę do dna i zamykając dzban pokrywą, co miało znaczyć, że już więcej gościa częstować nie ma zamiaru, rzekł:

- Tak to, tak, mój Piotruś, mopanku. Więc cię macocha wypędziła? No, no, łebska to była zawsze niewiasta. Hm, hm i cóż ty teraz myślisz czynić? Dokąd jedziesz?

- Do Warszawy.

- A tam po co?

- Słyszę, na wojnę z Turczyńcem się zanosi, więc zaciągnę się do wojska.

Gospodarz wytrzeszczył na Piotrka swe wielkie czarne oczy, a potem począł się głośno śmiać:

- Otóż masz - zawołał - jednego głupca więcej! Cha! cha! cha!

prawdę to ludzie, mopanku, gadają, że głupców siać nie trzeba, bo oni wszędzie jak zielsko rosną. Na wojnę pojedzie. A jak cię zabiją?

- Ha, cóż?

- Ot, głupiec, mopanku, rzetelny głupiec.

I śmiał się znowu, ale po chwili spoważniał i rzekł swym grubym krzykliwym głosem:

- Ot, nie plótlbyś, acan, głupstw, mopanku! Co ciebie Turczyn obchodzi?! Czy sprawi ci żupan na grzbiet albo jeść da? Wojna jest to zabawka dla wielkich panów i dla darmozjadów. Ot, mopanku, ja ci coś powiem. Tyś mnie przypadł do serca, przy tym krewniak jesteś mój jedyny i ja ci gotów jestem dopomóc choć dobrą radą, kiedy na co innego mnie nie stać.

To rzekłszy przysunął się zydlem do Piotrka, podniósł swą wielką łapę i uderzywszy nią chłopca w kolano tak silnie, że ten aż skoczył, mówił:

- Wiesz ty co, mopanku? Sprzedaj ty mnie Rzekę. Wszak to twoje?

- A moje.

- Więc mi sprzedaj. Przenocujesz u mnie, zjesz, co Bóg dał, a jutro świtaniem pojedziemy do Warszawy i oblatujemy akt kupna i sprzedaży w grodzie, jak się patrzy. Choć bieda u mnie wielka i zapożyczyć się będę musiał u Żyda, ale dla krewniaka to zrobię, żeby ci dopomóc.

- A, kiedy macocha z Rzeki nie chce ustąpić.

- He! he! he! już ty to mnie zostaw, mopanku, już ja wieś wywindykuję. Nie takie ja sprawy miewałem, a zawsze się jakoś

dało im radę. No gadaj, ile chcesz za Rzekę?

- Kiedy ja nie sprzedam. Jakże to ojcowiznę sprzedawać?

- Ot, głupi, mopanku. Ojcowizna, alboż to ja nie jestem Rzecki

czy co? Czy to obcemu sprzedajesz? Weźmiesz pieniądze

gotowizną i będziesz sobie pan. Ja tobie poradzę nawet, żebyś ty

na jakąś tam wojnę, gdzie cię mogą usieć, czego Boże broń, nie

jechał. Ot, teraz wielkie wojska król gromadzi pod Warszawą i

nierogacizną poszła w cenie. Ty za pieniądze nakup świń, ja tobie,

mopanku, poradzę po dobroci mego serca, gdzie i jak, i popędź do

Warszawy. Zrobisz gruby grosz.

- Nie chcę.

- Nie chcesz, ano, jak ci się, mopanku, podoba. No więc

stanęło, że mi Rzekę sprzedajesz?

- Wcale nie stanęło. Rzeki nie sprzedam.

- Nie sprzedasz?

- Nie.

Zaświeciły się czarne oczy gospodarza, uderzył w pasji pięścią

w stół, aż dzban z podpiwką zadzwonił, zerwał się i huknął:

- A niechże cię Pan Bóg sekunduje! Jedźże sobie na złamanie

karku!

Usłyszawszy to. Piotrek skoczył jak oparzony, chwycił za

czapkę, z wielkim trzaskiem wypadł na ganek i począł krzyżeć co

miał tylko sił:

- Maciek, dawaj konie!

- Jestem, panicz! - odpowiedział Maciek gdzieś za płotem,

więc Piotrek pobiegł tam, oganiając się przed chudymi psami, które go opadły. Zobaczywszy Maćka, który już kielznał konie i przyciągał popręgi u kulbak, zawołał:

- Uciekajmy stąd żywo, żywo!

Nie trzeba tego było powtarzać Maćkowi, który się śpieszył jak mógł. Za chwilę obaj siedzieli na koniach i kłusem wyjechali z dworskiego obejścia, ścigani przez zajadłe kundle. Kawałek drogi ubiegli, nim się Piotrek uspokoił i powiedział Maćkowi wszystko, co go w dworze oborskim spotkało; Maciek też ze swej strony gadał, jak musiał konie do płotu przywiązać i nakarmić je własnym obrokiem.

- Widzi panicz - kończył - ja zawsze radziłem, żebyśmy do tych Obór nie jechali. Ludzie dobrze gadali, że dziedzic tutejszy skąpiec i z przeproszeniem, świniopas. O, laboga! laboga! prawdziwe te obory! I cóż my teraz zrobimy?

- Wracamy do Karczewia, a jutro świtaniem wyruszymy do Warszawy.

Przenocowali więc w karczmie u Żyda w rynku w miasteczku i nazajutrz raniutko poczęli się przepytywać o drogę do Warszawy.

Żyd im opowiedział, że najlepiej dojechać do Wisły, która jest niedaleko.

- Tam jest prom i łodzie też są, za tynfa przeprawicie się, wielmożni panowie, i pojedziecie potem do Wilanowa. Teraz król

jest w Wilanowie i panów kole niego dużo, jest na co patrzeć.

- Sam król?

- A sam król. Ma tam piękny pałac w Wilanowie, ce, ce.

Cmokał ustami z zachwytu, mówiąc o tym.

- Radzę, niech panowie jadą na Wilanów. Dla młodego jest co zobaczyć. I wojska też jest dużo pod Warszawą. Ho! ho! Wilanów, to rarytas, ce, ce.

Cmokał ciągle w zachwycie. Rada ta spodobała się obu chłopcom i postanowili z niej skorzystać.

Dosiadłszy więc koni, puścili się wąską drożyną przez łąki i błota, gęstą łoziną zarosłe, ku Wiśle. W rzeczy samej spotkali tu prom, który z kilkorgiem ludzi zabierał się do odpłynięcia. Już miano odbić od brzegu, gdy nagle z wikliny wybiegł pędem jakiś człowiek w białej opończy, w kołpaczku na głowie i machając rękami, wołał:

- Zaczekajta! Zaczekajta! Zabierzeta mnie ze sobą!

Przewoźnicy zatrzymali się chwilę i na prom wpadł ów człowiek zdyszany mocno i zaraz usiadł sobie na deskach i głośno oddychał. Piotrek nie widział tego, bo miał wzrok wlepiony w brzeg przeciwny i marzył już o królu, Wilanowie, wojsku i Warszawie, ale Maciek, uspokoiwszy się z końmi, począł ciekawie przypatrywać się nowemu przybyszowi. Już sama biała dziwaczna opończa z peleryną i kołpaczek na głowie uderzyły go, ale dopiero gdy przybysz podniósł głowę, poznał w nim Wołocha. Podeszedł więc do Piotrka i rzekł:

- Paniczu, wiecie, kto jest na promie?

- Kto?

- Wołoszyn.

- Jaki Wołoszyn?

- A ten, cośmy go w nocy w zamku knyszyńskim spotkali, co nas, hultaj, szpiegował, a potem z bandą Szydły napadł na Borki.

- On tu jest? Nie może być?

- Ano, patrzcie.

Piotrek spojrział we wskazanym kierunku i spotkał się z czarnymi oczami Wołocha, który zrazu zmieszał się mocno, ale zaraz powstał i przyszedłszy do Piotrka uchylił kołpaczka i rzekł:

- Czołem, mości panie.

Piotrek zdumiony był tą śmiałością i zapytał:

- Co waćpan tu robisz?

- Jadę do Warszawy.

- To waćpan już nie służysz u Szydły?

- Szydło nie żyje.

- Jak to? Zabity?

- A tak. Wpakowaliście mu panowie nad jeziorem w Borkach w brzuch całą garść siekanego ołowiu i w dwa pacierze potem umarł.

- Nie może być?

- Tak to jest, tak. I waćpan mi się pytasz, czy ja nie służę u Szydły? Właściwie to ja nigdy u niego nie służyłem.

- A przecie wtedy, w Borkach, posłowałeś od niego i groziłeś,

że mnie na pal wbić każesz.

- Bo mi tak przykazał Szydło. Wpadłem w jego ręce, a waćpan wie; skacz wraże, jak pan każe; musiałem go słuchać.

- A cóż teraz myślisz robić?

- A cóż? Jadę do Warszawy szukać służby, a może do wojska się zaciągnę, bić Turczyna.

Rozmowie tej przysłuchiwał się Maciek w milczeniu, ale teraz nagle zapytał:

- A może ty nas, panie Wołoch, znowu szpiegujesz? Bo skądże ty się tu wziął akuratnie w chwili, gdy my na prom siadali?

Czemuż ty jedziesz z Borek tą samą, co i my, drogą?

- Jam waćpanów nigdy nie szpiegował, Boże mnie broń. A żem się znalazł w tych stronach, to dlatego że miałem listy do ks.

Lubomirskiego do Opolą i stamtąd wracam.

- No, no, pilnuj się ty, panie Wołoch, bo tu nie Puszcza

Knyszyńska i Szydły tu nie ma. Tu król sam jest w Wilanowie i łącno możesz, panie Wołochu, wisieć. Ja ci to powiadam.

- Jakże to? Król jest w Wilanowie? - spytał ciekawie Wołoszyn.

- A jest, tak nam gadali w Karczewiu. Właśnie prom przybił do

brzegu i Wołoszyn, urywając rozmowę, skłonił się kołpakiem,

skoczył na brzeg i szybko zniknął w gęstej wiklinie, rosnącej nad

Wisłą obficie. Nim Piotrek i Maciek się opatrzyli, nim konie na ląd

wyprowadzili, o Wołoszynie już nie było ani słyhu.

Rozdział dziesiąty

Jako Piotrek nazwany został smykiem i błaznem i co z tego

wynikło

Ranek był prześliczny i słońce, choć jeszcze nisko się znajdowało, dogrzewało mocno, gdy Piotrek i Maciek, wydobywszy się z nadbrzeżnej wikliny, wyjechali na gościniec, i przepytawszy się ludzi, dążących do żniwa, o drogę do Warszawy, puścili się rześko i wesoło. Z początku rozmawiali o swej przygodzie w Oborach, o skąpstwie stryja, o spotkaniu się z Wołochem, o którym Maciek uparcie twierdził, że on ich znowu szpieguje.

- Ale po co by nas miał szpiegować? - pytał Piotrek. - Jeszcze wtedy w zamku knyszyńskim, to rozumiem; Szydło chciał się pomścić za despekt, jaki go spotkał z twej ręki, ale teraz tutaj?

Trudno jednak było wybić z ciasnej głowy Maćka to podejrzenie. Gadał ciągle swoje. Na szczęście różnaitość widoków, liczne wsie, pola szerokie i płaskie zwracały ich uwagę, tak że powoli zapomnieli o swych dziwnych, ponurych przygodach, jakie ich spotkały w mrocznych puszczech knyszyńskich. Tu już wobec tego ruchliwego życia, jakie widać było na każdym kroku, znamionującego bliskość stolicy, nie było co myśleć o zbójach ani też lękać się ich szpiegów. Tak jadąc, przypatrując się bacznie wszystkiemu, zauważyli, że droga z początku niczym nie ocieniona, teraz zmieniała się w piękną aleję, wysadzoną smukłymi topolami włoskimi. Topole widocznie niedawno były posadzone, bo nie rozrosły się jeszcze bardzo, ale cień już dawały i gościniec w ich

ramach pięknie się przedstawiał.

- To już Wilanów musi być niedaleko - mówił Piotrek - skoro

droga tak pięknie wysadzona, niby szpaler w ogrodzie.

- Chciałbym też króla zobaczyć - mówił Maciek - bom nigdy

jeszcze go nie widział. Jak panicz myślą, król to musi być strasznie

wysoki?

- Czy ja wiem? Rodzic nieboszczyk, za poprzedniego króla

Michała, kiedy był w pospolitym ruszeniu pod Gołębiem, to widział

króla, ale mówił, że był maleńki i chuderlawy.

- Hm, hm, mnie się ta widzi, że król powinien być wyższy jak

każdy inny człowiek. Co mi ta za król maleńki i chuderlawy.

Tak gwarząc, jechali sobie wolno owym szpalerem topolowym,

rozkoszując się ciszą i świeżością poranku letniego, gdy nagle

patrzają, a tu gościńcem idzie przeciw nim dwóch mężów. Jeden z

nich, który szedł nieco przodem, był personat nie lada i wyglądał co

najmniej na wojewodę lub senatora. Wysoki, otyły, o zwieszystym

czarnym wąsie i takichże oczach, ubrany był w dostatni czechman z

przedniej, acz mocno wyszarpanej sajety, bernardyńskiej barwy, i w

buty czerwone. Broni nie miał przy sobie żadnej, tylko podpierał się

laską. Szedł wolno i ciężko. Za nim, nieco w tyle, postępował drugi

mąż, wysoki, chudy, jak tyczka, o twarzy zawiędłej, wąsie

szpakowatym i spuszczonej na dół, ogorzały mocno. Ubrany był w

piękny kontusz granatowy z wylotami, żupan biały atłasowy,

przepasany złocistym rzemieniem, na którym zwieszała się

karabela. Szedł, opierając się na czekaniku, i maleńkimi oczkami siwymi bystro patrzył na zbliżających się jeźdźców i dawał im jakieś znaki ręką, których oni nie rozumieli. Pierwszy z tych mężów miał głowę spuszczoną i zapatrzony był w ziemię, jakby nad czymś ciężko rozmyślał. Nie zauważył też zbliżających się: Piotrka i Maćka, dopiero gdy tuż przy nim się znaleźli, podniósł głowę i zawołał:

- Kto to? Co to? Coś ty za jeden? - spytał Piotrka, który jechał przodem.

Ten, jakkolwiek nie wątpił, że ma przed sobą jakiego senatora, jednak zuchwały z natury oburzył się, że go tak pytają bez ceremonii.

- Mości panie - odrzekł - jam nie żaden ty, jeno szlachcic jak się patrzy.

Na to podskoczył na przód ów wysoki wyga i potrząsając czekanikiem, krzyknął:

- Smyku jakiś, czapkę ze łba, błaznie!

Na te słowa porwała Piotrka ostatnia pasja. Zeskoczył w jednej chwili z konia i chwycił za rękojeść szabli:

- Co to?! - zawołał. - Rozbój na gościńcu?! Pokażę ci ja, żem nie smyk i nie błazen!

Wyga ów, dygocąc z gniewu, potrząsał czekanikiem i jeno przez usta przemykały mu się słowa:

- Błazen! Skurczybut!. Smyk!

Ale ów, wyglądający na senatora, podniósł laskę i rzekł:

- Mój Papiesiu, daj no spokój. Zaraz ja się rozmówię z tym młodym szlachcicem.

I zwracając się do Piotrka, rzekł z wielką powagą:

- Jak to widać, żeś acpan młody i niedoświadczony. Nie wiesz o tym, że Wilanów stąd niedaleko i że król jegomością jest w Wilanowie?

- Owszem, wiem, ale cóż to ma...

- Ma wiele, bo dobyte szabli tam; gdzie król jest, gardłem pachnie. Niechby cię kto zobaczył ze straży marszałkowskiej, a łeb by ci ucięto jak nic.

Usłyszawszy to, Piotrek puścił przerażony rękojeść szabli, a Maciek zawołał:

- O, laboga! paniczu, uciekajmy!

- No, no, nie macie czego uciekać, nikt was tu nie oskarży, ani ja, ani mój towarzysz. Jeno posłuchajcie dobrej rady. Acpan jesteście młody, a ja i mój towarzysz jesteśmy ludźmi dojrzałymi. Ja mam synów starszych od waćpana, więc tedy nie było się czego obrażać i hardo odpowiadać, gdym przemówił do acpana: ty. Czy nie prawda?

- Już cię prawda, mości panie.

- A widzisz, acpan, a potem też nie spadłaby ci korona z głowy, gdybyś czapkę przed starszym zdjął.

- Wszystko to prawda, mości panie, ale kiedy mię ten oto

szlachcic nazwał błaznem, zdzierżyć nie mogłem. Bom ja nie żaden

błazen, jeno szlachcic mazurski, Piotr Rzecki, herbu Ostoja.

- Bardzo mi miło poznać acpana, panie Rzecki, i ot, pogódźmy się. Dokądże to, acpan, jedziesz?

- Do Warszawy.

- Wolno zapytać po co?

- Chcę zaciągnąć się do wojska króla jegomości i pójść na Turczyna.

- Bardzo się chwali acpanowi ten zamiar. Król jegomość rad widzi młodzieńców rycerskiego animuszu. A znaszże ty króla?

- Nie, nigdy go nie widziałem.

- Hm, a jakże to, acpan, chcesz dostać się do króla? Król przecie to nie prosty szlachcic, do którego można tak obcesowo przystąpić... Wątpię, by cię tam puścili.

- A mój Boże! - zawołał Piotrek zrozpaczony - poradźże mi, waszmość, co mam uczynić i jak sobie postąpić?

- Hm, podobasz mi się, acpan, a choć do szabli na mnie się porwałeś...

- Za co wart jest najmniej sio biźlmow - mruknął ów drugi wyga.

- No, no, mój Papiesiu, nie sierdź się, proszę ja ciebie. Młode to, pstro we łbie i krew gorąca...

Po czym, zwracając się do Piotrka, dodał:

- Rad będę acpanu dopomóc. Ja z królem jegomości co

dzień się widuję, więc powiem mu o acpanu. Skręć na tę boczną drogę, bo tym gościńcem jechać nie można. Prowadzi on prosto do pałacu i dragonia tam stoi, toby acpana spędziła, jeszcze by coś oberwał.

- Ja ich się ta nie boję. Mam szablę...

- No, no, nie wojuj, acpan, tak tą szablą. Nec Hercules contra plures. A umiesz po ładnie?

- Oczywiście, że umiem.

- Cóż znaczy to zdanie, którym przed chwilą wyrzekł?

- Że nawet Hercules przeciw kupie nie poradzi.

- No, nie jest to dosłownie wyłożone, ale wszelako widzę, że acpana w naukach ćwiczone. Jedźże tedy tą drogą, która cię do wsi doprowadzi. Przepytaj się o zajazd i tam czekaj. Jak przyślę do acpana hajduka, to idź za nim, on cię do pałacu króla jegomości doprowadzi.

Piotrek skłonił się po kawalersku i rzekł:

- Bardzo będę wdzięczny waszmość panu.

- Więc do widzenia.

To rzekłszy, ów mąż zawrócił i szedł, opierając się na lasce, i śmiał się głośno. Nagle zatrzymał się i zapytał Piotrka, który już siadał na konia:

- Hej, acpan! A maszże suknie odświętne, bo przecie w takim zapyłonym kubraku na pokojach królewskich okazać się nie możesz?

- A jakżeby było - odparł Piotrek nieco urażony - szlachcic

jestem i posesjonat, i wiem, co się komu należy

- Nie bardzo - mruknął wyga.

- Mam - prawil dalej, nie zważając na to, Piotrek - kontusz

odświętny po rodzicu z grodeturu i żupan atlasowy, i buty, i

karabelę, jak się patrzy. Stać mię na to, bym się uczciwie nawet na

pokojach królewskich pokazał.

- Więc ustrój się jak należy i czekaj na mego posła.

To rzekłszy, zawrócił już na dobre i znikł wkrótce na zakręcie

gościńca. Piotrek stał i patrzył w milczeniu za odchodzącymi, a

potem rzekł do Maćka:

- Cóż ty na to, Maciuś? Widzi mi się, że oni z nas drwią?

- O, laboga, laboga, może być... ale nie! Ten z laską to musi

być jaki senatorj a może wojewoda, gdzie by ta drwił? I rzeknę

słowo: panicz się za ostro stawili...

- Co ty tam wiesz? Czemuż mnie nazwał smykiem i błaznem?

- To ten drugi, ale wojewoda nie. Człek grzeczny i jak się

patrzy. O, ten drugi to był strasznie zły, mruczał ciągle pod nosem i

jeno wąsiska mu się jeżyły, a bizuny obiecywał. To straszny jakiś

zabijaka.

- Cóż teraz czynić? Bo jeśli on zadrwił sobie ze mnie...

- O, laboga, wielka mi rzecz, niech sobie drwi. Mnie się widzi,

że trzeba tak zrobić, jak przykazywał. Bo i cóż panicz na tym stracą,

że się pięknie w świąteczne suknie ubiorą?

- Dobrze mówisz, jedziemy tedy tą boczną drogą.

Dosiadł więc swego srokacza i zamyślony, rozbierając i przypominając sobie całą rozmowę i to osobliwsze spotkanie, skręcił na wskazany mu boczny gościniec. Wkrótce dostali się do wsi i przepytawszy się ludzi o zajazd, zajęchali tam.

Był to duży dom murowany, ze stajniami i oficynami, a przed nim stało mnóstwo karocy, koni, hajduków i służby wszelkiego rodzaju, a wszystko strojne w barwy, uzbrojone, buńczuczne a harde. Ledwie się precisnęli i dostali do gospodarza.

Ten ani chciał gadać z nimi, uproszony ledwie, pozwolił konie postawić na uboczu, na podwórzu, ale o izbie mówić sobie nie dał.

- Skąd ja wezmę izby? Co się acpanu troi? Tu wojewodowie nie mają izb, a acpan chcesz?

- Ale ja muszę się przebrać, bo do króla jegomości mam iść.

Hajduk wojewody po mnie przyjdzie.

- Jakiego wojewody?

- Czy ja wiem dość, że wojewoda. Gospodarz spojrział na niego z góry i rzekł:

- Troi się acpanu coś po głowie. Niby to takich jak acpan do króla wzywają. A zresztą co mi tam. Chcesz się przebrać, to się przebierz gdzie pod ścianą, teraz lato, to nie zmarzniesz-

Piotrka gniewało to i na płacz mu się zbierało, gdy widział, jak liczna służba pańska przyglądała mu się i podrwiwała sobie z niego.

A nawet je - den w barwie gorącożółtej, zawadiaka jakiś, zaśpiewał

głośno:

Mazurówle nasi po jaglanej kaszy Słone wąsy mają, w piwie je maczają!

Piotrka ręka świerzbiała i chciał skoczyć na owego śpiewaka i szablą mu gębę zatkać, ale przy pomniał sobie, co mu ów wojewoda powiedział, że dobyte szabli tam, gdzie król jest, gardłem pachnie, więc dał spokój i zeszedł z oczów owej zuchwałej służby. Wynaleźli sobie z Maćkiem, idąc za radą gospodarza, kącik za stodołą, tu się Piotrek obmył z kurzu w wodzie, przyniesionej przez Maćka ze studni, i począł ubierać. Wdział więc na siebie kontusz, uszyty przez Żydka Mordkę z Łomży, kontusz grodeturowy karmazynowy, żupan biały w kwiatki, przepasał się łańcuchem posrebrzanym, u którego uwiesił karabelę srebrem nabijaną. Buty żółte dopełniały tego stroju. Właśnie kończył się ubierać, a Maciek z ustami roztworzonymi podziwiał panicza, gdy nagle doszło do ich uszów głośne wołanie:

- Pan Rzecki! Gdzie tu jest pan Rzecki?! Kto tu jest pan Rzecki?!

Wyszedł więc zza ściany Piotrek i patrzy, a na podwórzu, wśród służby, stoi wysoki chłop w papuzim żupanie po kostki z potrzebami złotymi, w cizmach czerwonych, z szablą przy boku turecką i wciąż woła:

- Gdzie u króćset jest pan Rzecki?!

- Jam jest, co acan chcesz?

- To acpan? Proszę za mną! Król acpana wzywa!

Szli tedy przez podwórze, a cała służba teraz milczała, wielu się kłaniało, a ów śpiewak o Mazurach i kaszy jaglanej gdzieś zniknął. Sam gospodarz zajazdu wybiegł, kłaniał się nisko i przeproszał „jaśnie pana” (tak nazywał teraz Piotrka), że nie dał kwatery, ale on to zaraz uczyni, i pobiegł szukać Maćka, by konie do stajni zawiódł, a rzeczy „jaśnie pana” zaniósł do komnaty.

Rozdział jedenasty

Jako Piotrek został pokojowcem królewskim

Tymczasem Piotrek, idąc za owym hajdukiem, wszedł na dziedziniec pałacowy, przed którego bramą na moście stało dwóch dragonów królewskich na koniach, mając muszkiety podniesione do góry i wsparte na kolanach. Nie puszczali oni nikogo bez królewskiego pozwolenia. Na samym dziedzińcu, który był wielki jako rynek, pełno było służby, żołnierzy, a karoce jedna po drugiej zajeżdżały przed ganek i wysiadali z nich panowie, kapiący od złota, i panie, szeleszczące forbotami i koronkami. Gwar i wrzawa była tu ogromna, i Piotrek, który coś podobnego pierwszy raz widział, całkiem stracił głowę i szedł za owym hajdukiem jak na ścieście.

Tak weszli do sieni, pełnej strojnych panów, a potem do komnaty na prawo, także przepełnionej, i hajduk, stanąwszy we drzwiach, swym grubym i donośnym głosem zawołał:

- Oto jest pan Rzecki!

Oczy wszystkich zebranych tutaj zwróciły się na Piotrka i poczęli mu się - przypatrywać, a wielu młodszych, ubranych po niemiecku, w perukach, pończochach i przy szpadach, uśmiechało się i szeptem szydziło ze zmieszania chłopaka. Ale na szczęście zbliżył się doń młodzieniec, może odeń starszy o parę lat, bo już mu się wąsik czernił pod nosem, ubrany w kusy, do kolan, kontusik karmazynowy, suto wyszywany złotem, w biały jedwabny żupan w srebrne muszki, w czechczery granatowe, obcisłe, i buty, węgierskie z kutasikami i paciorkami, ciemnozłocistej barwy. Szedł ów panicz opierając się lewą ręką na małej szabelce, wiszącej na rapciach u srebrnego misternego łańcuszka, którym kontusz w pasie był ujęty; szedł, dzwoniąc srebrnymi u butów podkówkami, i stanąwszy przed Piotrkim, skłonił mu się bardzo grzecznie:

- Pan Piotr Rzecki?

- Tak.

- Jam jest Mikołaj Dyakowski, pokojowiec królewski, do usług acpana. Król jegomość zaraz acpana wezwie do siebie, bo już pytał, czyś przyszedł.

Piotrek nic na to nie odrzekł, bo, patrząc na tyle świetności i tyle blasku, zgoła stracił przytomność i nie wiedział co mówić ani też jak się obrócić. Te dziwne losy, które go wywiodły z cichej wioski ojczystej, przez tyle osobliwszych przeprowadziły przygód i nagle rzuciły na pokoje królewskie, przed oblicze samego majestatu, wydawały mu się jakimś snem i nie był pewny, czy to on, Piotrek

Rzecki, czy nie on, stoi teraz w złocistej sali, w gronie senatorów, wojewodów i kasztelanów i za chwilę ma króla samego ujrzeć. Ale nie było czasu na te rozmyślenia, bo drzwi zamknięte do sąsiedniej komnaty roztworzyły się z trzaskiem i wyszedł z nich jakiś wielki magnat, w sajetach i przy karabeli, a zaraz też pan Dyakowski podbiegł do Piotrka i kłaniając się grzecznie, rzekł:

- Król jegomość acpana wzywa.

I szedł przed nim, i roztworzywszy drzwi, zawołał:

- Pan Piotr Rzecki!

Po czym z ukłonem przepuścił przed sobą Piotrka i zamknął drzwi za nim. Piotrek, rzuciwszy po komnacie wzrokiem, skamieniał. Przed nim na krześle siedział ten sam okazały mąż, którego spotkał dziś rano na drodze do Wilanowa, ubrany w ten sam dostatni czechman, przepasany jeno złocistym łańcuszkiem, u którego wisiała piękna i bogata karabela. Za nim w pewnej odległości stało kilku poważnych panów, strojnych we wspaniałe suknie, w guzy i solitery. Tak, to był król Jan Sobieski. Uśmiechnął on się dobrotliwie do Piotrka i mówił:

- Jak się, acpan, masz? Cóż, poznajesz mnie? A do szabli się nie porwiesz? Boję ci się mówić ty, żebyś się znów nie obraził.

Więc Piotrka wielka żałość i wielki strach zdjął. Tak jak stał, rzucił się królowi plackiem do nóg i zawołał:

- Miłościwy królu, daruj mi wszystko, jam głupi i świata nie widziałem. Nie jestem winien miłościwy... miłościwy panie!...

Łkał i wyrazów wymówić nie mógł.

- No, no - rzekł na to król - wstań, chłopcze, nie mam ci nic do wybaczenia. Owszem, podobasz mi się. Chceszli zawsze mi służyć?

- Choćby do śmierci, miłościwy panie.

- Dobrze, żeś się pośpieszył, bo za dwa dni wyruszamy na wojnę. Będziesz przy mnie pokojowcem moim.

To rzekłszy, obrócił się do jednego z otaczających i rzekł:

- Oddać go Papieskiemu.

Tedy ów dworzanin zwrócił się do Piotrka i szepnął:

- Podziękuj królowi i ruszaj za mną. Piotrek plackiem padł do nóg królowi, a ten go łaskawie poklepał po ramieniu i kazał wstać i iść. Wszedł więc młodzieniec z owym dworzaninem i zaraz też przybiegł do nich Dyakowski i zapytał:

- A co?

- A nic - odparł dworzanin - ten szlachcic będzie waściny towarzyszem, król uczynił go pokojowcem. - A gdzie jest ten stary wyga, Papieski?

- Tam gdzie zawsze, w izbie marszałkowskiej - odrzekł

Dyakowski i zwracając się do Piotrka, dodał:

- Bardzo mi przyjemnie mieć w waści towarzysza. Bardzo się z tego cieszę.

I ukłonił się zgrabnie, dzwoniąc srebrnymi podkówkami u węgierskich bucików.

Piotrek ruszył za dworzaninem, który szedł przodem, i przypomniał sobie nagle, że ów wyga szlachcic, który rano towarzyszył królowi na przechadzce i który Piotrka zwymyślał tak ostro, nazywany był przez króla „Papiesiem”.

- Ani chybi - myślał sobie - Papieski jest tym samym. I król kazał mię jemu oddać. Pewnikiem łeb mi każe uciąć. Teraz widzę, co się święci. Te wszystkie grzeczności, to jeno proste oszukaństwo. Łeb mi utną, jak nic, za to, że szabli przy królu dobył. Ot, tom się dobrze dosłużył.

I czarna go rozpacz ogarnęła, a że wyszli na dziedziniec, przysłała mu myśl, czyby nie było lepiej uciec. Ale dworzanin jak gdyby przeczuwał to: wziął go silnie pod ramię i tak prowadził, pytając, jakim sposobem Piotrek nie znany nikomu, zasłużył sobie na tyle łask u króla jegomości. Piotrek zestrachany, zmieszany mocno, odpowiadał ni w pięć, ni w dziewięć, tak że dworzanin powziął o jego rozumie bardzo złe wyobrażenie. Tym czasem młody Rzecki dalej rozmyślał:

- Ani chybi, prowadzą mnie na ścięcie. Bo czegoż mnie ten dworzanin wziął pod ramię i wiedzie jako więźnia? Oj, dolaż moja, dola, żeby choć księdza przed śmiercią dali.

Ale po chwili przypomniał sobie, że jest szlachcic; że w Polsce szlachcica sądem nie przekonanego nie wolno nikomu, nawet królowi, karać. I nabrał nieco otuchy.

I właśnie przyszli do bocznej oficyny pałacowej Tu dworzanin

wprowadził go do dużej komnaty, gdzie mnóstwo służby pakowało do wielkich skrzyń najrozmaitsze przedmioty, a nad nimi stał ów szlachcic wyga, którego Piotrek spotkał z królem na drodze, zwany „Papiesiem”. Na hałas otwieranych drzwi Papieski podniósł swe złe, głęboko osadzone, małe oczka, wpatrzył się w Piotrka i rzekł:

- A tuś mi!

Dworzanin tymczasem począł mówić, że król tego oto młodzieńca szlachcica mianował swoim pokojowcem i kazał go odesłać do imci pana marszałka.

- Pokojowcem król jegomość go zrobił? Tego smyka, skurczybutę? Świat się do góry nogami przewraca, jakem szlachcic. A ja bym ci, kochanku, ante orania*, pięćdziesiąt bizunów wsypał, abyś umiał szanować starszych. Pokojowiec! Piękny mi będzie pokojowiec! Już ten król jegomość ma osobliwsze niekiedy fantazje, a wszystko to jeno przez anielską dobroć serca. I cóż ja z tym gamoniem zrobię, powiedz waszmość? - zwrócił się do dworzanina.

* ante omnia (łac.) - przede wszystkim

- Nie wiem, to nie moja rzecz. Taki jest nakaz królewski.

Ostawiam go tu waszmości. Czołem!

Skłonił się i wyszedł. A Papieski patrzył, patrzył swymi strasznymi oczkami na Piotrka, ciągle mruczał pod nosem, stroszył wąsy, wreszcie nagle się spytał:

- Jak się, acpan, zowiesz?

- Piotr Rzecki.

- Rzecki? Z którychżeś ty Rzeckich?

- Z mazurskich, innych nie ma.

- Hm, proszę ja kogo, czy twoja babka nie była Papieska?

- - A Papieska.

- No, toś ty mój krewniak, skurczybuto! Twoje szczęście, żeś trafił na dobre serce królewskie, bo inaczej to bym cię kazał na początek orznać jak kota, żebyś znał mores. I tak cię to nieraz spotka, skoroś mój krewniak, bo ja tu mam nad tobą patemam potestatem **. Czuj duch, mości panie! A sprawuj mi się dobrze.

Hardą masz duszę, to widać, że płynie w tobie krew Papieskich.

No, zaraz cię zapiszę w rejestr i jurgielt wyznaczę.

** patemam potestatem (łac.) - władzę ojcowską

To mówiąc, dobył wielkiej księgi z kantorka i nałożywszy okulary, sapiąc i stękając głośno, pisać począł. Wypytywał się przy tym szczegółowo Piotrka, kiedy i gdzie się urodził, co umie itp.

Zapisawszy to wszystko z wielkim mozołem, zawołał jednego z pajuków i kazał wskazać nowemu pokojowcowi królewskiemu kwatery, i zaleciwszy jeszcze raz surowo dobre sprawowanie się, kazał odejść.

Rozdział dwunasty

Jako Maciek został panem Maciejem

- Wiedzą panicz co? - mówił Maciek.

- Cóż takiego?

- Nam tu będzie cale galanto. Ani mi przez myśl nigdy nie

przeszło, żebyśwa byli u samego króla jegomości na służbie. To nie snopki w polu liczyć i z chamami z przeproszeniem się ujadać. My teraz panowie. Bo to i kwatera niczego, i barwa uczciwa, i wikt jak się patrzy, i uważanie jest, i koniom też w niebie nie będzie lepiej.

- Albo to, ośle jakiś, konie będą kiedy w niebie?

- Co prawda, to nie, bo koń na ten przykład jest bydlę, nie człowiek. O, laboga, laboga, głupstwo się rzekło, ale to z tego, że jestem srodze kontenty. Już to nam nigdzie lepiej nie będzie. Na wojnę z Turczyńcem pojedziemy jutro. Oj, będę też rzezał tych poganów, będę!

- A może oni ciebie zarzezą?

- Oho, niedoczekanie ich. Wczoraj to jeden hajduk gadał, że Turki to straszny naród, a ja mu na to odrzekłem, że jest kapuściana głowa, i skoro się z królem jegomości idzie na wojnę, to Turczyńca zmieciemy jak plewy. Prawda, paniczu?

- Prawda.

Tak sobie gwarzyli w kwaterze Piotrka dwaj mazurscy, czyniąc przygotowania do jutrzejszego wyruszenia w drogę. W Wilanowie o niczym innym nie mówiono, jeno o tej wojnie. Dyakowski, z którym Piotrek wszedł w wielką przyjaźń, opowiadał, że Turczyn chce cesarskie miasto Wiedeń oblec, że komendant tego miasta słał posły do króla jegomości, by śpieszył z pomocą, bo jeżeli pogaństwo go napadnie, to on niedługo będzie w stanie wytrzymać. Sam król jegomość był bardzo wesół i zobaczywszy na drugi dzień

Piotrka na pokojach, rzekł ze śmiechem:

- Jak się masz, srogi rycerzu? Cóż, nie gniewasz się, że ci mówię ty?

- Miłościwy panie - zawołał Piotrek - gdybyś rzekł, że jestem niewolnikiem waszym, tobyś prawdę rzekł.

- No, no, jeno mi się dobrze spraw na wojnie, a zobaczymy.

Wyruszono na koniec dnia 18 lipca w niedzielę, po wysłuchaniu mszy św w kaplicy pałacowej. Król był dobrej myśli i królewicz Jakub, który także na tę wojnę jechał, ale królowa przez całe nabożeństwo płakała. Król jegomość jechał z synem karocą poszóstną, a pokojowcy jego konno, tuż za nim, a potem wojsko, dwie chorągwie husarskie królewiczów: Jakuba i Aleksandra, pułk dragonii i chorągiew pancerna dobrze podszyta. Tego dnia zajęchano za ledwie do Falent i tu nocowano.

Wieczorem późnym zaszedł do kwatery Piotrka pan

Dyakowski i opowiadał, że król bardzo złe nowiny otrzymał o Turczynie

- Cóż takiego? - pytał Piotrek.

- Przyszły listy, że Turcy jeno cztery dni drogi oddaleni są od Wiednia.

- Masz tobie! To my nie zdążymy na obronę tego miasta.

- A może i nie zdążymy, chociaż król powiada, sam to dziś słyszałem, że spieszyć się nie trzeba, bo dość jeszcze jest czasu.

- Skoro król jegomość tak mówi, to tak być musi. Mądrzejszym

on od nas obu.

Nazajutrz wyruszone dalej na Radziejowice do Rawy. Że to był piękny dzień lipcowy, więc wojsko i część dworu królewskiego, nie mogąc się pomieścić w samym miasteczku, rozłożyła się na polach okolicznych. Tutaj król jegomość otrzymał listy, nadesłane mu przez gońca umyślnego, a że dnia tego na służbie, był Piotrek, więc król, rozpieczętowawszy owe pisma, podał je jemu, rozkazując:

- Czytaj waść, co mi tam Niemcy piszą. List był skreślony po łacinie i Piotrek uczuł, jak mu do głowy krew idzie, bo myślał sobie, że jest to chwila, w której albo zyska na zawsze protekcję królewską, albo też uważany będzie za zwyczajnego osła, jakich mnóstwo między szlachtą wtedy było, i na zawsze utraci serce królewskie. Zabrał się do czytania onych pism, a choć nie wszystko w nich rozumiał, pojął jednak, że komendant cesarskiego miasta Wiednia, graf Starhemberg, donosił, że Turczyn z wielką mocą opadł już pod murami stolicy, że sam wielki wezyr, imieniem Kara Mustafa, co znaczy Czarny Mustafa, rozbił swoje namioty od strony północnej miasta, że Turczyn przypuścił już pierwszy izturm, ale Niemcy go odparli i moc pogaństwa przy tym nasiekli.

Wszystko to czytał Piotrek zrazu głosem lęklwym, słabym, jękając się tu i ówdzie, ale powoli sama treść listu zaczęła go rozogniać, wrzała w nim krew i żal, że on tam w obliczu pogan się nie znajduje, i czytał już gładko, płynnie, z zapalem i głosem podniesionym. Sam król jegomość i wszyscy panowie obecni

słuchali tego czytania bardzo pilnie i widać było, jak zapal czytającego przenika w ich duszę, bo wielu brząkało szablami i chwyciło za rękojeście, a sam król ścisnął tak silnie poręcz krzesła, na którym siedział, że aż trzeszczała. Gdy Piotrek skończył, król listy odeń odebrał i rzekł:

- Dobrześ to, waść, odczytał i widać, że cię w szkole nie w ciemię bito. Ale teraz zostaw nas, waść, samych.

Piotrek wyszedł rozpromieniony pochwałą królewską i wyczytanymi wieściami. A że noc już zapadła, więc poszedł do swych koni i kwatery, którą dostał u jednego mieszczanina rawskiego, by sobie wypocząć nieco, bo król zapowiedział, że jutro świtaniem wyruszy w dalszą drogę. Na kwaterze, ani też przy koniach Maćka nie zastał, był tylko drugi pacholek, którego mu dał pan Papięski do pomocy Maćkowi, bo teraz Piotrek miał sześć koni, pod wierzch Srokacza i jeszcze jednego siwojabłkowitego, dwa pod Maćka i Adamczyka, bo tak się zwał pacholek. Był to syn krawca warszawskiego, ale chłopak, chociaż na pozór rozlazły, był jednak pełen animuszu rycerskiego, wolał mieczem niż igłą robić i zaciągnął się na wyprawę. Tego tedy Adamczyka, chłopię może osiemnastoletnie, szczupłe, chude, z długą szyją, zastał Piotrek samego, jak koło koni się kręcił.

- A gdzie Maciek? - spytał Rzecki.. - Nie wiem. Pan Maciej...

- Nie żaden pan, jeno Maciek! - przerwał Piotrek, bo był zły.

- Kiedy pan Maciej każe się zwać panem.

- Urosły mu już widzę rogi na królewskim chlebie, ale ja mu je przytrę. Gdzie on jest?

- Nie wiem. Pan Maciej...

- Znowu pan! Ja tu jeden pan i mnie masz słuchać, rozumiesz?

- Rozumiem, co nie mam rozumieć.

- Cóż tedy? Mów!

- Ano nic. Pan Maciej stali sobie oto tutaj i patrzyli się na tę tam wieżę, gdy nagle zerwali się jak oparzeni i krzyknąwszy mi: - Adamczyk, pilnuj koni! - skoczyli oto tam.

To mówiąc, wskazał ręką na starą basztę zamkową, którą stąd było widać doskonale, jak swymi kształtami pękatymi i poważnymi od starości, rysowała się na szarym niebie zapadającego zmroku.

Były to już ruiny dawnego zamku Piastów mazowieckich; tu niegdyś miała zginąć śmiercią gwałtowną żona księcia Ziemowita, piękna księżniczka ze śląskiej Ziembicy. Piotrek patrzył na te mury, na które padały blaski ognisk, rozłożonych opodal przez żołnierzy, ale nic nie widział i Maćka też dostrzec nie mógł.

- Nic ci nie powiedział, po co tam poleciał?

- Niby któż?

- No któż, gamoniu jakiś, o kimże mówimy?

- A ja wiem, o kim panicz mówią?

- No, o Maćku.

- Aha!

- Więc nic ci nie powiedział?

- Niby pan Maciej?

- Ej, ty masz widzę we łbie zamiast mózgu krawieckie nici.

Dogadać się z tobą nie można. Pilnujże mi koni, bo o złodzieja nietrudno. A jak Maciek wróci, powiedz mu, żeby mi zaraz do mnie przychodził, że taki przykaz dałem. Rozumiesz?

- Rozumiem, co nie mam rozumieć. Jeno...

- Jeno co?

- Pan Maciej nieprędko wróca.

- Znowu pan!... A dlaczego nieprędko wróci?

- Bo gonili jakiegoś szpiega.

- Szpiega? Co ty mówisz? No i co?

- A nic, tak gadali pan Maciej, lecąc...

Piotrek dopytywał się jeszcze, badał Adamczyka na wszystkie strony, ale nic więcej z niego wyciągnąć się nie dało. Poszedł tedy do swej kwatery i położył się na słomie, postanawiając sobie nie spać, jeno czekać powrotu Maćka. Ale ten jakoś nie wracał, a oczy Piotrkowi się kleiły i nie wiedział kiedy, zmorzony fatygą, zasnął.

Rozdział trzynasty

Jako Maciek ujrzał Wołocha i co z tego wynikło wynikło

Jak długo spał, nie wiedział. Obudziło go silne szarpnięcie.

Przed nim stał Maciek z latarką w ręku, spocony, zziębnięty, oddychający ciężko, zasmolony jakiś i ocierający pot z czoła.

- Co się stało? - spytał Piotrek. - Gdzie ty, u paralusza, się

włóczyś i konie same ostawiasz?

Maciek siadł sobie na zydlu i rzekł:

O, laboga, laboga, dobrze paniczowi gadać, wylegując się jak wojewoda na słomie. Ale ja czuwam nad bezpieczeństwem króla jegomości i całego wojska.

- Co ty pleciesz? Ej, Maciek, widzi mi się, że ci ta znajomość z dragonami królewskimi na złe wychodzi; gorzałki się napiłeś?

- Ja? ja? gorzałki się napiłem? A żeby tu zaraz, jak siedzę, w świętą ziemię się zapadł, jeżlim widział tego wieczoru kropelkę gorzałki! O, laboga, laboga, oto zapłata za mój harunek, za moje latanie, za moją dbałość o dobro króla jegomości i całego wojska!

- Ale cóż się stało? Jakże to dbasz o dobro króla jegomości?

Opowiedz mi, nie lamentuj, bo widzę, że coś masz na sercu.

- Pewnikiem, że mam na sercu. A panicz ani się domyśla, kogo ja widziałem i za kim latałem, jak pies za zającem, po owej baszcie, po owym zamku, ażem wpadł w jakąś dziurę i o małym życia nie postradał, a żupan tom sobie zepsował na nic. Widzi panicz, jaka to dziura?

- Widzę, ale gadaj, cóż to było?

- Oto tak było. Wszystko dokumentnie opowiem. Poprawił się na zydlu, obtarł rękawem spocone czoło i zaczął:

- Oto tak było. Co robiący, kiedy panicz poszli do króla jegomości jakieś tam pisma czytać, tedy ja sobie stoję przed stajnią i patrzę na owe gruzy, co je tu widać. Zmrok już zapadł, ale jeszcze

było widno. Stoję sobie, co robiący, i patrzę, jako dragany zabierają
jakiemuś łyczkowi tutejszemu siano, a jego niewiasta krzyczy
wniebogłoso, że ją rabują, i śmiać mi się chciało z owej baby, bo
była wygadana, a nawet jednego dragana w gębę trzasła, aż się
rozległo, i widzę... Niech panicz zgadną, kogo zobaczyłem?

- Skądże mam zgadnąć, kiedy nie wiem, o co idzie.

Maciek nachylił się, oczy wytrzeszczył i rzekł głuchym
szepem:

- Zobaczyłem Wołocha.

- Co ty mówisz? Wołocha? A on skąd się tu wziął?

- Skąd? A idzie ciągle, hultaj, za nami i szpieguje. Stał sobie
pod basztą w swej białej opończy i rozglądał się dokoła. Tedy, co
robiący, myślę ja sobie, ani chybi szpieg i zdrajca. Więc skoczyłem i
krzyczę na draganów: - Łapaj, chwytaj! - Kiedy to szelma rakarz
usłyszał, tak w nogi do onej rudery. Przyleciało do mnie z ośmiu
draganów, a ja im mówię: - Panowie dragany, w tej oto ruderze
schował się szpieg turecki, który nas i króla jegomości, i całe
wojsko przepatruje i poganinowi chce wydać.

- A toś głupio powiedział - przerwie Piotrek. Maciek
zaczerwienił się cały i zapytał:

- Głupio? A laczego głupio?

- Dlatego, że my jesteśmy jeszcze w Polsce i Turczyna tu
nigdzie nie ma, a do tego cesarskiego miasta Wiednia, gdzie on
przebywa, jest jeszcze setki mil.

- Tak, ano, panicz jest mądry, ani słowa, pisma królowi

jegomości czyta, ale niechże mi powie, laczego ten Wołoch ciągle za nami łązi?

- Tego ja nie wiem i z pewnością on szpieguje, idzie jeno o to, czy nas dwóch, czy też króla jegomości. Czy tak, czy owak, dobrze by było hultaja złapać i wziąć na konfesatę.

- O, laboga, a czegoż ja chciałem? Tedy, co robiący, skórom rzekł draganom, że w owej ruderze szpieg siedzi, skoczyli zaraz, jako to żołnierz jest nauczony, i otoczyli ruderę dookolusieńka, a czterech, có robiący, poszło ze mną do środka. I cóż panicz powiedzą? Szukaliśmy tak, że szpilka by się nie ukryła, a tego rakarza Wołocha nijak znaleźć nie mogliśmy. Przepadł jak kamień w wodę. Ja też, co robiący, natrafiłem na jakąś dziurę i wpadłem w nią, srodze się potłukłem i nowiusieńki żupan zepsowałem szpetnie. O, laboga, laboga, ledwie mię dragany wywlekli, bo myślałem, że to już po mnie. Wołocha nie ma, ale pewnikiem dyi siedzi w ruderze i dragany tam pilnują, i jak tylko, rakarz ostatni, łeb wyściubi, zaraz go eupną.

Piotrek wysłuchał tego opowiadania w milczeniu, a Maciek obtarł znowu spocone czoło i mówił:

- Mnie się widzi, paniczu, że ów Wołoszyn nie nas dwóch szpieguje, bo cóż mu ta na nas może zależeć? Szydło już nie żyje, a choćby żył, to wie, że skoro my jesteśmy przy królu i w tak wielkim wojsku, to nic nam zrobić nie może. Pewnikiem więc ten hultaj

Wołoch nasadzony jest od Turczyna, żeby przepatrywać słabe strony wojska królewskiego.

- Może to być i zapewne tak jest.

- Tedy ja myślę, żeby panicz zaraz poszli do króla jegomości, i o tym mu powiedział. Król każe wszystkim szukać Wołocha, a w ostatku ową rudere zburzyć i wtedy rakaższa szelmę znajdziemy.

- Nie, to byłoby źle, boby się potrwożyło całe wojsko. My jeszcze od Turczyna jesteśmy daleko i zdrady nie możemy się obawiać. Co nam tu w Rawie Turczyn może zrobić? Mnie się widzi, żebyśmy oba mieli baczne oko na wszystko i jak się tylko Wołoch gdzie ukaże, hajda na niego.

- Ha, wy mądrzejsi jesteście ode mnie, paniczu, i niech tak będzie, jako chcecie. Co robiący, już spać nie będę, jeno koło rudery chadzać sobie zacznę z draganami, jak hycła Wołocha zobaczymy, to zaraz go capniemy.

- Czyń to sam, a dragonów nie bierz do pomocy, żeby nie trwożyć wojska.

- Sam? A jak mię Wołoch usiecie?

- Już tchórzysz?

- Nie tchórzę, a żem rycerz nie lada, to panicz wiedzą, bo widzieli, jakem sobie poczynał z Szydłem w lesie knyszyńskim. Ale zawsze z takim zbójem jak Wołoch rzecz niebezpieczna.

- Co tu gadać, tchórzysz i basta.

- Otóż nie tchórzę i pójdę sam, i Wołocha na smyku tu

przywiode. Nie jestem tchórz, jeno rycerz i sługa królewski.

- Rycerz? Tobie się, Maciuś, widzę, z krete sem we łbie
przewróciło. Chłop jesteś, a każesz się Adamczykowi panem
nazywać.

- A jakże on mię ma nazywać, taki łyk, mieszczański synek?

- Przecież ty chłop, a nie pan.

- Chłop jestem, to prawda, ale kmiecy syn. A wczoraj, jakeśmy
z Falent szli, to pan Dyakowski, który jest nauczny i w księgach
czyta jak, nie przymierzając, ksiądz w Rzece, gadał z księdzem
Przyborowskim, który jest jeszcze więcej nauczny niż nawet nasz
proboszcz, boć przecie jest spowiednikiem królewskim, że co
robiący, chłopcy to są takie same Piasty jak szlachta, jeno krzyne
gorsze i też biedniejsze; gadał ksiądz Przyborowski, że wszyscy
ludzie, którzy na roli siedzą, są lepsi od tych, co po miastach
mieszkają i szewstwem, a też krawiectwem się trudnią. Tedy, co
robiący, jakim to usłyszał, zem ja Piast i taki dobry jak szlachcic,
jeno krzyne gorszy i biedniejszy, ale zawždy lepszy kmieć na roli jak
szewc w mieście, wiecem zaraz rzekł temu Adamczykowi: - Słuchaj
no, ty łyku, krawczuchu, żebyś mi się nie ważył inaczej do mnie
gadać, jeno pan. Bom ja kmieć, Piast, taki dobry jak szlachcic, jeno
krzyne gorszy, a też biedniejszy, ale zawždy lepszy od ciebie, łyku
jakiś. - Tak to było, teraz panicz wiedzą, laczego ja kazałem
Adamczykowi panem się nazywać i musi tak być, bo inaczej w kark
by dostał.

- Ani mi się waż go tykać, zakazuję tego tobie. Żeś ty, jako rolnik, choć chłop, lepszy od jakiegoś łyka miejskiego, to jest prawda i ks. Przyborowski dobrze to wyeksplikował, ile że on to musiał w księgach wyczytać; ale stąd nie idzie, żebyś ty nad Adamczykiem przewodził, bo oba jesteście moje sługi i wara tobie od niego.

- Tak, alem ja wyższy sługa, tak jak panicz są wyżsi ode mnie, bo są sługą króla jegomości. Ale ja tu gadam z paniczem po próżnicy, a rakarz Wołoch może mi tymczasem uciec. O, laboga, laboga, pójdę już i straż przy ruderze dzierżyć będę.

- Idź, idź, Maciuś, a dobrze się spraw. Zajrzyj do koni, czy Adamczyk dał im obroku i oporządził jak się należy. Jeno mi go nie bij, zakazuję tobie.

- O, laboga, bić go przecie nie będę, ale że go ta czasem za łeb wytargam, to mu ta krzywdy nie zrobię.

To rzekłszy, wyszedł, a Piotrek, podumawszy chwilę, legł znów na słomę i wkrótce zasnął snem młodości.

Rozdział czternasty

Jako Maciek, głosząc teorią o lepszności chłopów od mieszczan, został zakuty w łańcuszki

Maciek całą noc z paru dragonami przepędził na pilnowaniu starych ruin zamku rawskiego, ale Wołoszyn wcale się nie pokazał. O świcie zaczęto trąbić na wojsko i szykować się do dalszej drogi, więc Maciek z rzadką miną powrócił do kwatery i rzekł do Piotrka:

- Wiedzą panicz co?

- No.

- Ja tu ostanę w Rawie i dobiorę sobie kilku mieszczan, z którymi jeszcze raz za dnia przeszukamy te stare gruzy. Bo gdzie się ten hultaj zapodział? Przecie w ziemię się nie zapadł.

- O tym, żebyś tu pozostał, mowy być nie może. Należymy teraz do wojska królewskiego i ostawać albo też jeździć bez rozkazu starszyny oba nie możemy. Za to krygsrecht i kula. Teraz czasy wojenne, żartów nie ma. A przy tym, kto by mi koni doglądał, Adamczyk sam sobie rady nie da.

- Jakże więc? Tego szpiega tak ostawimy?

- Ej, widzi mi się, że ci się coś u widziało z tym Wołochem; a już to pewno, żeś jest w strasznej konfidencji z dragonami królewskimi i musiałeś sobie wczoraj głowę zaproszyć, to ci się, Bóg wie, co troiło.

Maciek sumitował się, że kropelki gorzałki od dwóch dni nie widział, że panicz kalumnie nań ciskają, że jemu to jest strasznie przykro, że dla dobra królewskiego należy szpiega Wołocha wynaleźć, że on jeno z pół dnia w Rawie przesiedzi, a potem wojsko dogoni i Wołocha na smyczy przywiedzie, ale Piotrek sobie o tym gadać nie dał. Maciek zły, mrużąc pod nosem, wsiadł na koń i wraz z innymi wyruszył w drogę.

Tego dnia, 21 lipca, król doszedł do Wolborza i tu przenocował. Nazajutrz dociągnięto do Rosprzy, a potem do

Kruszyny. Tutaj nocą już samą przypadł kurier, szlachcic polski, pan Gliński, z listami i król kazał budzić Piotrka, by przyszedł owe pisma przeczytać. Zerwał się tedy Piotrek i przyodziawszy się naprędce poleciał do komnaty królewskiej. Król jegomość leżał w łóżku, a obok niego był królewicz Jakub i panów kilku. Listy Glińskiego donosiły, że Turcy przypuścili szturm do bastionu wiedeńskiego, zwanego La Cour, ale zostali odparci; natomiast poganie wzięli most jakiś i zburzyli przedmieście wiedeńskie, zamieszkałe przez żydostwo, nazywane Leopoldstad. Tedy król wielce się zafrasował i rzekł do otaczających:

- Trzeba nam się śpieszyć, mości panowie. Byle jeno pan hetman Jabłonowski i Litwa nadciągnęli do Krakowa, bo czas już wielki.

Gdy Piotrek chciał odchodzić, król zawołał:

- Ale, ale, mój Rzecki, co to tam gadają, że twój pacholek jakiegoś szpiega tureckiego widział w Rawie? Prawda to?

Piotrek się zmieszał zrazu, ale po chwili odrzekł:

- Miłościwy panie, nic to pewnego. Pacholekowi memu się zdawało i natarłem mu uszów, że wojsko trwoży po próżnicy.

- No, no, nie wolno wojska trwożyć i niech mi plotek po obozie nie puszczają. Zakazuję tego.

Tedy Piotrek zły, gdy wrócił, wpadł na Maćka, który chrapał jak zabity, i skrzyczał go strasznie, że jest osioł i pijak koronny.

- Żeby ciebie król jegomość kazał obwiesić, toby dobrze zrobił.

Maciek milczał, bo sam się przestraszył, ale pod nosem sobie

mruczał:

- Obaczmy, czyja prawda. Że Wołoch był w Rawie, tom gotów przysiąc i niech no ja tego rakarza złapię, to skórę zeń zedrę za to wszystko, co przez niego cierpię.

Z Kruszyny król z wojskiem zrobił krótki marsz do

Częstochowy, gdzie cały dzień przepędzono na nabożeństwie.

Piotrek z Maćkiem skorzystali z tego, że się znaleźli w miejscu cudami słynącym i obaj się spowiadali i komunikowali, i modlili się gorąco, by im też Pan Jezus w tej wojnie poszczęścił.

Z Częstochowy na Włodowice, Bydlinę, Pieskową Skałę,

wlokąc się bardzo wolno, przybyło obozowisko królewskie do

Krakowa. Piotrek i Maciek, którzy jeszcze nigdy nie widzieli

wielkiego miasta, zdziwili się wspaniałości Krakowa, a że król miał

się tu zatrzymać kilka dni, więc chodzili po ulicach, po kościołach,

zamku i przypatrywali się wszystkiemu ciekawie. Drugiego dnia

pobytu w tym mieście Piotrek był na służbie na pokojach

królewskich i wieczorem samym przyszła wieść, że jeden z ciurów

obozowych pobił mieszczan krakowskich i poranił ciężko na

Kleparzu w jakiejś winiarni. Piotrka coś tknęło, bo słyszał, że

Maciek rano wybierał się oglądać przedmieścia krakowskie, więc

bał się, czy to czasem nie on tak się spisał, ile że burmistrz i

rajcowie, którzy przyszli ze skargą na zamek, odgrażali się mocno i

domagali się surowej kary.

- Godnego obywatela i rajcę, a też kupca krakowskiego -

mówili - imci pana Grzegorza Przybyłkę, ów ciura usiekl i żądamy przykładowej kary. Mamy swoje prawa, przywileje i konstytucje, i jakże to może być, żeby nas pacholki wojskowi zabijali.

Rotmistrz od chorągwi królewicza Jakuba, który straż owego dnia trzymał w zamku, spytał się delegatów miejskich:

- A gdzie ów ciura jest?

- Siedzi u nas na ratuszu.

- Tedy dostawić go tutaj, a ja go pod krygsrecht oddam, jeżeli jest winien.

Król już legł, bo późno było, więc mu o tym nie doniesiono, co było szczęściem, bo strasznie się gniewał, gdy wojsko gdzie dokazywało.

Gdy delegaci miejscy odeszli po owego więźnia, Piotrek rzecze do rotmistrza:

- Boję się, czy to nie będzie mój pacholek?

- A może to ten, co gadał, że w Rawie szpiega tureckiego widział?

- Ten sam.

- No, jeżeli to on, to szelmę przez różgi przepuszczę i zasiek każę.

- Jeżeli to on, to miejcie nad nim kompasję, panie rotmistrzu, chłopak młody i głupi, a też ksiądz kapelan Przyborowski przewrócił mu w głowie gadając, że chłopcy są Piasty i lepsi od mieszczan.

- Hm, jużcić ks. Przyborowski, który jest mąż uczoney, dobrze gada. Boć ja ta zawsze wolę chłopca jak tych łyczków od łokcia i miarki. Widziałeś, acpan, z jaką oni tu przyszli impozycją, w sajetach, guzach, karabelach, jak senatorowie. Wielka mi rzecz, że tam jakimś łykowi twój pacholek łba naznaczył.

- A i to jeszcze, proszę waszmości - dodał Piotrek - trzeba zbadać, kto winien. A nuż go napadli, oskoczyli? Zali nie miał się bronić?

- No, no, obaczymy. Już ja mu ta krzywdy zrobić nie dam. Przy łyczkach to go skrzyczę, zagrozę sądem, okuć każę, ale waść go sobie po cichu potem weźmiesz, jeno dla pamięci nakarbuj mu tam skóry bizunem. Jużcić mores być musi. I tak hultaje łążą po mieście, szabelkami trzaskają, a król jegomość się gniewa. Więc po cichu orznij go tam jak kota i będzie wilk syty, i koza cała.

To mówiąc rotmistrz śmiał się, a że był gruby, i tłusty, to mu się brzuch trząśł cały. Piotrek nadzwyczajnie zaniepokojony, z biciem serca oczekiwał przybycia więźnia i jego oskarżycieli. Przyszli na koniec z wielkim hałasem i trzaskiem, prowadząc pod strażą pacholek mijskich owego więźnia. Rotmistrzowi już się to nie podobało, że tak hałasowali, tedy krzyknął na nich, żeby się cicho zachowywali, bo tu król jest i śpi, i kazał sobie pokazać więźnia.

Gdy się rozstąpili, Piotrek na wielkie swoje przerażenie zobaczył Maćka. Stał okuty w łańcuszki na nogach i rękach, z głową gołą, pokrwawiony cały, w ubraniu poszarpanym, zbiedzony i

przestraszony. Gdy zobaczył Piotrka, zawołał żałośliwie:

- Paniczu, laboga, ratujcie mię, łyki ściąć chcą!

Tedy rotmistrz, usłyszawszy to, zawołał groźnie do mieszczan:

- A kto wam pozwolił żołnierza królewskiego kuć w łańcuchy?!

Cóż to znowu jest?! Hej, rozkuć mi go zaraz!

Po czym, zwracając się do pacholków miejskich, rozkazywał:

- Won stąd!

Burmistrz z rajcami chciał oponować, ale rotmistrz skrzyczał

ich i gadał:

- Ja tu straż trzymam przy osobie królewskiej i ja tu rozkazuję!

Kazał wejść kilku dragonom, więźnia rozkuć, a pacholków

miejskich wygnać za bramę zamkową, po czym rozpoczęła się

indagacja. Rotmistrz z groźną miną zwrócił się do Maćka i krzyknął:

- Coś ty, hultaju, narobił?! Gadaj mi zaraz, łeb ci jak nic uciąć

każę! Gadaj, jak to było?!

- O, laboga, laboga! - zawołał Maciek - paniczu, ratujcie mię.

Com ja winien, co?

- Gadaj, jak to było!

- Wszystko powiem, jak na świętej spowiedzi, wszystko. Otóż,

co robiący, poszedłem dziś rano na Kleparz, bo panicz na służbie

byli przy królu jegomości. Tedy, co robiący, łążę sobie i przypatruję

się, a że spiekota była straszna, więc mi się pić zachciało. Patrzą,

jakaś winiarnia...

- Co to za winiarnia?

- Imci pana Strudla, godnego obywatela - ozwie się burmistrz.

- A on tu jest? - spytał rotmistrz.! - Nie ma.

- To trzeba go sprowadzić. Poślijcie po niego, bo inaczej ja moich dragonów poślę.

Burmistrz co prędzej wysłał jednego z delegatów, a

tymczasem Maciek na rozkaz rotmistrza opowiadał dalej.

- Co robiący, wszedłem sobie i usiadłszy na ławie, kazałem dać piwa. A tu obok mnie siedzi dwóch jakichś grubych łyków, a

jeden z nich pyta mnie: - Coś ty za jeden, że siadasz sobie z nami

za pan brat? - A ja mu, co robiący, pedam: - Jam jest Maciek

Dyrdała z Rzeki na Mazurach, a teraz żołnierz królewski. Chłop ci

jestem z rodu, ale zawsze Piast i taki dobry jak szlachcic, jeno

krzynę gorszy, a też biedniejszy, ale zawsze lepszy od was,

łyczkowie. - Co robiący, kiedy oni to usłyszą, skoczą obaj jak

oparzeni i nuż krzyczeć: - A ty chamie jakiś, won stąd! won! - i

wołają na gospodarza, by mię za drzwi wyrzucić kazał. O, laboga,

laboga, opadli mię jak osy, wiecem się bronił i jednego obuszkim

przez łeb ściągnąłem. Dopieroż krzyk. Sprowadzili swoich wojaków,

zakuli mię, rakarze przekłęci, w łańcuszki, na ratusz zawiedli,

szturchając ciągle i bijąc, i do ciemnicy wrzucili. O, laboga, laboga!

Wysłuchawszy tego, rotmistrz rzecze do mieszczan:

- Czegóż wy chcecie? Samiście zaczęli.

- Nie może to być - ozwie się burmistrz - by taki cham śmiał

rajcom naszym na cześć nastawać. My żądamy kary.

- Małościę go sami ukarali?
- On winien śmierci.
- Już to moja rzecz, czego on winien. Hej, dragony, wziąć tego hultaja pod areszt! A mospanów żegnam, już późno jest.
- Więc jakże? - pyta burmistrz.
- A nic, jutro zobaczymy.
- My do króla pójdziemy.
- Przede wszystkim idźcie sobie do domu, ot, co jest.

Dobranoc!

I zawrócił się, i wszedł do drugiej komnaty, trzaskając drzwiami. Mieszczanie, mrużąc i odgrażając się głośno, zabrali się także i poszli.

Rozdział piętnasty

Jak orzeł wskazywał królowi drogę

Maćka, wziętego z wielkim hałasem pod areszt, po odejściu delegatów mieszczańskich rotmistrz zaraz kazał uwolnić i oddać Piotrkowi, który go zabrał do siebie, do swej kwatery, będącej także na zamku. Tutaj biedny Maciek musiał siedzieć i nie pokazywać się wcale na mieście, bo mieszczanie nie przestali się odgrażać i usiłowali skargę aż do króla jęgomości wnieść, i gdyby byli Maćka gdzieś w mieście zdybali, byliby go z pewnością schwytali i ubili może. Siedział więc, nie ruszając się z kwatery, i z rozpaczy spał po osiemnaście godzin na dobę, wymyślając na „łyków”, co się zmieści.

- Bój się Boga, Maciuś - mówił Piotrek - nie pokazuj się na ulicach i przyrzeknij mi, że już żadnych histori wyprawiać nie będziesz. Król jegomość, do którego mieszczanie trafili, gniewny jest, i najmniejsze z twej strony przestępstwo, to ci łeb uciąć każe, jak amen w pacierzu.

- O, laboga, laboga! - jęczał Maciek - już będę siedział jak trusia i pary z gęby nie przepuszczę; jakem Piast.

- Jeno ty tam o tym Piaście nie gadaj, bo to coś jest bałamutnego - Jak to bałamutnego? Co też panicz mówią? Żeby to była nieprawda, toby o tym ani ksiądz Przyborowski, ani też pan Dyakowski nie gadał.

- No, no, już jeno siedź i nie ruszaj się, a że nie widzisz ani husari, którą przyprowadził wczoraj pan hetman polny Sieniawski, ani też innego wojska, które się ściąga tutaj do Krakowa, to niech to będzie dla ciebie karą.

- O, laboga, laboga, cóżem ja takiego uczynił?! Żem jednego łyczka obuszkim trącił, to mi panicz nic widzieć nie dadzą. I przyszło już wojsko?

- I jakie jeszcze wojsko! Husarze z panem Sieniawskim to sześć mil jednego dnia zrobili, a powiadam ci, człek w człeka, koń w konia, a jak idą, to jeno skrzydła szumią, a ziemia drży. Chybaby Turczyn miał pomoc samego antychrysta, żeby się miał takiemu wojsku oprzeć.

- Pewnikiem, że się nie oprze.

- Dziś pan hetman wielki, Jabłonowski, przyprowadził też

resztę wojska. A są tam i pancerni, i husarze, i dragoni

cudzoziemskiego autoramentu, i piechota też kwarciana, i piechota

wołoska, i harmaty, aż się w oczach ćmiło, kiedy ci to rynkiem i

Grodzką ulicą waliło. Aż dusza rośnie patrząc.

- O, laboga, laboga, i ja też tego nie widzę, żeby tych łyczków

Turczyn za to pobił. A cóż, paniczu, słyszać o Turczynie? Listy jakie

są?

- A jakże. Turczyn miny podkłada... ale ty nie wiesz, co to są

miny.

- A nie wiem.

- Otóż to, Turczyn kopie się pod ziemią jako kret i tak się

podsuwa pod mury Wiednia, a gdy już dojdzie do samych owych

murów, to prochy tam podkłada i zapala. Gdyby prochy wybuchły,

toby mury się zwaliły i poganinowi łatwo by już było dostać się do

miasta.

- To ci dopiero poganin! Ale Niemcy się nie dadzą?

- A nie, bo oni też kopią pod ziemią naprzeciw owych

pogańskich kretowisk i przeszkadzają podkładaniu prochów.

Naszych to tam już jest dużo u cesarza, jest pan Gliński, pan Butler,

pan Grocholski, książę Lubomirski ze swymi pułkami, i mężnie z

Turczynem walczą.

- A kiedy my pójdziemy?

- Słyszę, że pojutrze. Dziś rano to przyjechał sam nuncjusz od

papieża.

- Od papieża? O, laboga, laboga, i cóż?

- Król jegomość siedział na tronie, a podle niego sześciu

biskupów, wszyscy w infułach i kapach złocistych i panów też

senatorów moc, i pan hetman polny Sieniawski, w zbroi i lamparciej

skórze. Wyglądał jak rycerz starodawny, co wstał z marmurowego

grobowca, które po kościołach stoją. Tedy nuncjusz coś gadał,

gadał długo, alem dobrze nie posłyszał, jeno potem padł na kolana,

i wyciągając ręce do króla, zawołał: - Ratusz chryścijaństwo! - Mnie

się też łzy zakręciły w oczach i już nie wiem, co było.

- Ano! - zawołał Maciek, ściskając pięście - niech ja tych

rakarzy Turków schwyce w me ręce, to im kiszki powypruwam!

Będe tłukł hyclów łbami o siebie, aż im potłukę jak stare garnki!

Takie nowiny znoził Piotrek Maćkowi, który wysłuchawszy ich i

naobiecYWawszy Turczynowi straszne męki, kładł się spać i spał jak

zabity. Aż wreszcie po parutygodniowym pobycie wyruszono z

Krakowa dnia 14 sierpnia na Czernichów, Lipowiec, Mysłówice do

Bytomia, gdzie już była ziemia cesarska.

Dnie były bardzo piękne i ciepłe, a kraje, przez które wojsko

się posuwało, bogate i ludne. Niemcy wszędzie przygotowywali

mnóstwo żywności i co cztery mile stała szopa, pełna obroku dla

koni, chleba ledwo nie prosto z pieca wyjętego, bydła, całe stada

baranów, sterty siana, piwa beczek mnóstwo. Maciek też używał, co

się zmieści, i w czasie tego pochodu tak się spał, jak nigdy, a do

Adamczyka gadał:

- Już to ty, łyczku, widzisz, jak to dobrze jest ze szlachtą i z Piastami służyć. Gdzie byś ty ta u twego rodzica, krawca w Warszawie, miał takie jedzenie jak tutaj.

- To pewno, panie - odpowiadał Adamczyk powolnie i niby skromnie, ale w gruncie rzeczy, jako to był chytry warszawiak, dworował sobie z Maćka - to pewno, panie - mówił - że bym go nie miał. Nas jest dwanaścioro rodzeństwa i bieda wielka. Ale i pan to chyba w chałupie, w Rzece, tego nie miał, bo kiedy pan był w Wilanowie, to pas zapinał się na szóstą dziurkę, a teraz ledwie na trzecią. Jać to widzę, że najlepiej ze szlachtą.

- A tak, tak - odpowiadał Maciek - sprawuj się dobrze, a ostaniesz takim jak ja, Piastem.

A do Piotrka mówił:

- Prawdę rzekłszy, paniczu, to te Miemcy wcale godny jest naród. Jeść dają dobrze i porządek u nich, widzę, jest wielki. Kto by się to spodziewał? U nas w Rzece gadali, że Miemieć a pies to jedno. Widzę, że to nieprawda. Wcale godny naród i uszanować też Piasta umieją. Wczoraj to mi się burmistrz do kolan kłaniał. Dobrze, dobrze, pedam mu, ja o acpanu będę pamiętał i od Turczyna cię obronię. Wcale dorzeczny naród, a choć ta kuso chadza i gada nie po ludzku i ja sobie też podrwiram z nich, chociaż oni tego nie rozumieją, ale zawždy godny naród, nie ma co.

Maszerowano wtedy właśnie przez ziemię morawską od

miasteczka Modrzyc do Nikolsburgu, i gdy Maciek tak gadał do

Piotrka, nagle, podniósłszy głowę, zawołał:

- O, laboga, paniczu, widzicie?!

- Co takiego?

- Patrzcie, patrzcie! - I wskazał ręką w górę.

Niedaleko od nich jechała wolno karoca królewska, a nad tą karocą nieustannie unosił się, krążąc, orzeł wielki. Więc Piotrek zdziwił się bardzo i mówił:

- To jest przepowiednia zwycięstwa, trzeba o tym królowi jegomości powiedzieć.

Spiął więc konia i dopadł do karocy królewskiej. Król siedział w niej z królewiczem Jakubem i księdzem Przyborowskim, jezuitą, swym spowiednikiem i drzemał sobie, bo dzień był gorący, a niebo jak lza czyste. Na tętent zatrzymanego gwałtownie konia król się ocknął, wychylił głowę i zapytał:

- A co to?

- Miłościwy panie! - zawołał Piotrek - oto nad karocą waszej królewskiej mości ciągle wielki orzeł krąży.

- Nie może być! Pokaż no! - zawołał król i zaraz krzyknął na woźnicę: - Stój!

Gdy karoca stanęła, król wyszedł na gościniec, a za nim królewicz i ksiądz Przyborowski, i wszyscy poczęli patrzeć na owego orła, który wolno i majestatycznie zataczał już nad głową królewską wielkie kręgi, a od jego skrzydeł cień posuwał się po

ziemi. Zaraz też moc panów, rotmistrzów i pułkowników zbiegła się do króla i wszyscy, a za nimi całe wojsko, zatrzymując się, przypatrywało się owemu orłowi. I zrobiła się dziwna i niebywała rzecz. Nagle ukazała się tęcza, podobna do księżycy, jakby cień od siebie rzucająca. Zjawilo się mnóstwo ptaków, które krążąc kreśliły w locie, według niektórych litery, że „Jan zwycięży pod Wiedniem”. Król nic nie mówił, słuchał tego i patrzył nader poważny na owe widowisko, że ów pierwszy orzeł krążąc, zdawał się dosięgnąć księżycy. Na koniec zerwał się, a za nim wszystkie ptaki, i poleciał drogą ku Wiedniowi i całe też zjawisko znikło.

- Cóż na to powiesz, ojcze? - spytał król księdza

Przyborowskiego.

- Miłościwy panie, niezbadane są wyroki boskie. Wszelako pewne jest, że Bóg niekiedy wybranym mężom przyszłości rąbek odkrywa.

Król nic nie odrzekł, jeno po chwili zapytał:

- A gdzie jest ten, co tego orła najprzód obaczył?

- Miłościwy panie - odpowiedział Piotrek - to mój pacholek.

- A może to ten; co w Rawie o jakimś szpiegu gadał, a w

Krakowie z mieszczanami się pobił?

- Ten sam.

- Niechże tu przyjdzie.

Sprowadzono tedy Maćka, który przypadłszy pędem,

zeskoczył z konia i zdjawszy czapkę z głowy, rzucił się królowi do

nóg, wołając ze łzami w oczach:

- Oto jestem, najjaśniejszy królu! Król kazał mu powstać i spytał:

- Toś ty ujrzał pierwszy owego orła?

- Ja, najjaśniejszy królu.

- Mówią mi, żeś ty potrwożył wojsko w Rawie owym szpiegiem tureckim.

- Najjaśniejszy królu, niech się zaraz zapadnę w świętą ziemię, jeżeli nie widział Wołocha. I ja tego raka chwyć, żeby tak...

- Dobrze, dobrze, już nie mam do ciebie gniewu, chociaż w Krakowie mieszczan pokaleczył.

- Jednego tylko, najjaśniejszy królu, skrobnąłem go na odlew obuszkim, bo gadał, że ja gorszy od łyków. A ja jestem kmiecy syn, Piast, taki dobry jak szlachcic, jeno krzyję gorszy, a też biedniejszy, ale zawsze lepszy od łyków, bo na roli siedzę.

- Hm, osobliwa teoria. A któż tego ciebie nauczył?

- A imć pan Dyakowski i też ksiądz dobrodziej - dodał, kłaniając się i wskazując na obecnego tej rozmowie księdza Przyborowskiego.

- Widzisz, księżu - rzekł król - jak to źle w proste umysły siać ziarna teorii, których one nie rozumieją.

Po czym, zwracając się do Maćka, odezwał się:

- Nie mam do ciebie gniewu, a niech ci tam mój skarbnik, za to, żeś orła owego pierwszy zobaczył, da dziesięć czerwonych

złotych.

To rzekłszy, król siadł do karocy i ruszono dalej w drogę.

Rozdział szesnasty

W którym Niemcy się dziwią, że Polacy nic się Turków nie boją

Maciek tak był dumny i tak uszczęśliwiony z tego, że król mu, jak się wyrażał, „nie jest krzyw” i że z nim rozmawiał, iż gadał do Piotrka:

- Wiedzą panicz co? Że gdyby mi król jegomość kazał samemu jednemu pójść na całe wojsko Turczyna, tobym poszedł. Wkrótce też zdarzyła mu się sposobność udowodnienia tego, co obiecywał, czynem.

Maszerowano ciągle i dnia 6 września przeprowadzono się przez wielką rzekę Dunaj. Do króla zjechało się mnóstwo różnych książąt niemieckich, jak lotaryński, dwaj książęta badeńscy: Herman i Ludwik, książę Waldeck, książę Eugeniusz Carignan, książę saski i wielu innych. Była to wspaniała uczta u króla i wszystkich obdarzono pięknymi końmi ze stajni królewskiej. Właśnie wtedy w namiocie był Piotrek i pan Dyakowski, i słyszą, jak król tych książąt, postrojonych w kuse suknie, wielkie kapelusze i cienkie szpady u boku, pyta (p. Dyakowski, który umiał po francusku, bo w tym języku rozmowa się toczyła, tłumaczył wszystko Piotrkowi):

- Musicie, panowie, mieć języka nieprzyjacielskiego od podjazdów swoich, ponieważ to tylko dziesięć mil od Wiednia.

A na to książę lotaryński, który był hetmanem wojsk

cesarskich, zdziwił się bardzo, spojrzął po innych książętach i rzecze:

- Miłościwy panie, jakże my mamy posyłać podjazdy? Chyba na to, żebyśmy połowę wojska stracili.

- Jakim to sposobem - odezwie się król - być może, żeby się wojsko wygubiło?

- Posłaliśmy - odpowie książę lotaryński - jednego generała na podjazd w trzy tysiące dragonów, ale cóż? Wrócił tylko patrol z kilku żołnierzami, reszta zginęła, spotkawszy się z pięciuset Turkami, którzy tak napaarli, że nawet wystrzelić naszym nie przyszło.

Król uśmiechnął się, spojrzął po Polakach go otaczających, a spostrzegłszy Piotrka, rzecze mu:

- Przyzwij mi tu rotmistrzów, pana Romana Ruszczyca i pana Damiana Szumlańskiego.

Skoczył Piotrek po owych panów, którzy niedaleko kwatery królewskiej ze swymi chorągwiami stali, i biegnąc po nich, natknął się na Maćka, który ciągle się koło namiotu króla kręcił, powiadając, że jeno patrzeć, jak Wołoch na przespiewi się zjawi, i że on go „capnąć” musi. Otóż Piotrek, spotkawszy Maćka, krzyknął mu w przelocie:

- Kulbacz konie, na podjazd pójdziemy! - I pobiegł dalej.

Sprowadziwszy obu rotmistrzów, mężów wysokich w lekkich misiurkach, z wąsami jak wiechcie, Piotrek stanął sobie za nimi i słucha, co król powie. A król, obróciwszy się do hetmana wielkiego

pana Jabłonowskiego, rzecze:

- Każ im, waćpan, dać ordynans i surowo przykazać, ażeby się języka starali, a jeżeli nie dostaną języka, to niech dotrą do samego obozu tureckiego i o wszystko się wywiedzą. Niechaj wracają w dwudziestu czterech godzinach, wszak to tylko dziesięć mil od Wiednia, to na dobrych koniach mogą się obrócić, bo ta rzecz odwłoki nie cierpi.

Po czym król zwróciwszy się do obu rotmistrzów, którzy stali nieruchomi jak posągi owych starych rycerzy, co po sarkofagach śpią snem kamiennym, rzecze:

- Przyjdźcie mi tu wprzód z waszymi ludźmi przed namiot, żebym ich widział.

Rotmistrze, skłoniwszy się królowi, wyszli, a zaraz też ich opadli Piotrek i pan Dyakowski i składając ręce, prosili:

- Weź mnie, waść, ze sobą, weź mnie. Jeszczem też Turczyzna nigdy nie widział i ciekaw jestem bardzo.

Ale rotmistrze zrazu, zwłaszcza pan Ruszczyć, który był mąż surowy, ani słyszeć o tym nie chcieli.

- Jakże to was brać - mówili - bez pozwolenia królewskiego?

Przynieście pozwolenie, to was weźmiemy, skoro wam - młode głowy na karku ciążą. Turek wam może ulżyć, zdjawszy je jataganem.

Ale gdy się prosili bardzo gorąco, pan Szumlański rzecze:

- Weźmy ich, a cóż nam to szkodzi? Niech paniczyki

posmakują nieco strzał i szabel tureckich.

Pan Ruszczyć jeszcze się opierał, w końcu machnął ręką i rzekł:

- A to sobie jedźcie, skoro chcecie. Ja o tym nic wiedzieć nie potrzebuję.

A pan Szumlański szepnął:

- Tylko się śpieszcie, konie pewne miejcie, bo z Turczynem to nie żarty.

Skoczyli wtedy obydwaj do swoich kwater, a Piotrek, gdy zadyszany od biegu przypadł do Maćka, patrzy, a tu już Srokacz okulbaczony, misiurka i szabla czarna ojcowska leży. Sam Maciek przywdział na głowę hełm, całkiem gotowy stoi przy koniach i czeka.

- Jedziemy? - krzyknął Piotrek. - Żywo, siadaj!

Maciek w mig znalazł się na swej rosłej szkapie, którą mu się Piotrek wystarał, bo podjezdek macochy został w Krakowie. Jadąc kłusem do chorągwi, które się zbierały, Piotrek mówił:

- Maciuś, trzymaj się mnie, a w razie potrzeby damy sobie pomoc.

- He! he! he! - śmiał się z radości Maciek - niech się panicz nic nie boją. Damy dobre wnyki Turczynowi. O, będę też prał, będę prał, rany najświętsze Pana Jezusa!

- Jenemu mi się nie rzucaj na łeb, na szyję. Pan Szumlański, który jest rycerz zawołany, powiada, żeby się dobrze trzymać, bo z

Turczyńcem nie żarty. Nie o bitwę też idzie, jeno o schwytywanie języka. Sam to słyshałem, jak król przykazywał. Jedzie też z nami pan Dyakowski.

- O, laboga, laboga! - wołał Maciek, zacierając ręce - dopieroż to będzie pranie.

Spieszyli, bo chorągwie panów: Ruszczyca i Szumlańskiego, już szły klusem przed namiot królewski. Niewiele tego było, jakieś dwieście koni lekkich, petyhorskich, ze spisami, u których jeno białe i czerwone proporczyki kitajkowe furkały głośno od wiatru. Leciał też pędem pan Dyakowski ze swym pachołkiem, obaj uzbrojeni i na dobrych koniach. Gdy chorągwie przybyły przed namiot królewski i uszykowały się pięknie, to Piotrek i pan Dyakowski stanęli z tyłu, żeby ich król nie widział.

Król wyszedł, a za nim wszyscy książęta nie mieccy, i przypatrywali się owej garści rycerstwa polskiego, i głowami kiwali, i szeptali:

- Na zgubę król posyła tę garstkę ludzi pod tak wielkie wojska.

- Nasz podjazd - rzecze książę lotaryński - we trzy tysiące poszedł, a nie wrócił się.

- Żal się, Boże - ozwie się książę saski - tych ludzi, a najbardziej tych komendantów.

Król zaś, słysząc te szepty, uśmiechnął się tylko, piękny wąs gładził i rzecze głośno do panów: Ruszczyca i Szumlańskiego:

- Żebyście mi, waćpanowie, języka przywiedli, rozkazuję!

A na to pan Ruszczyć, skłoniwszy się, rzecze:

- Zdałoby się, miłościwy panie, by nam dano jakiego człowieka, świadomego mowy tutejszej, bo jakże my się z Niemcami rozmówimy?

Król, uznając słusność tej uwagi, zwrócił się do książąt niemieckich i przedstawił im żądanie pana Ruszczyca. Spojrzeli na siebie, pokiwali głowami, chrząkali, wreszcie posłali po swych pułkowników i rotmistrzów. Gdy ci przyszli, zaproponowano im, żeby ze swych komend dali dwóch ludzi roztropnych i mężnych, którzy by na ochotnika poszli na podjazd z chorągwiami polskimi. Komendanci zgodzili się na to i odeszli. Długo jakoś nie było widać nikogo, i król, i panowie Ruszczyć i Szumlański niecierpliwić się poczęli, gdy na koniec zjawiło się dwóch rycerzy niemieckich, uzbrojonych od stóp do głów, w hełmach pancernych, z długimi, prostymi mieczami u boku, chłopów olbrzymich jak Goliaty. Dano z nich po jednemu każdemu rotmistrzowi i król, zwracając się do tych ostatnich, rzekł, robiąc znak krzyża świętego:

- Ruszajcież tedy w imię boże, a sprawcie się dobrze, żeby nam wstydu nie było przed Niemcami.

Wyruszone więc, na wielką radość Piotrka i Maćka, którzy kryli się z tyłu za szeregami i w strachu byli, by ich kto nie dostrzegł.

Zaraz za obozem obie chorągwie się rozdzieliły.

- Waść - rzekł pan. Ruszczyć do Szumlańskiego - idź na zachód, ja pójdę na wschód słońca. Z dwóch stron uderzymy na

obóz turecki.

Pożegnano się tedy i w dwie różne strony ruszono. Z panem Szumlańskim pojechał pan Dyakowski, a z panem Ruszczycem - Piotr i Maciek. Pod wieczór się już miało i słońce zachodzące krasiało złotawym, jesiennym blaskiem góry okoliczne, miasta i wsie, mnóstwo pięknych winnic, okrytych obfitym owocem i przeglądało się w hełmach i spisach chorągwi polskich. Postępowano różnie, konie parskały nieustannie, co starzy żołnierze mieli za dobry znak, a wietrzyk miotał tylko biało-czerwonymi proporczykami spis. Gdy za obóz wyruszono w przednich szeregach, huknęła grzmiąco na szerokie niwy niemieckie stara bojowa pieśń polska:

„Boga Rodzica, Dziewica, Bogiem sławiona Marya”.

Rozdział siedemnasty

Jako Maciek dał uczuć janczarom pięść chłopca mazurskiego

Z obozu wyruszano nad wieczorem i maszerowano rześko całą noc. Od połowy drogi nie spotykano żywej duszy, a sterczące ruiny wiosek świadczyły, że tatarskie zagony aż tutaj sięgały. Pan Ruszczyć nakazywał też wielką baczność, surowo zabronił wszelkich rozmów, szable kazał wziąć krótko, żeby nie dzwoniły, i po obu bokach swej kolumny wysyłał gęste patrole. Nad świtaniem dobito się niewielkiego, ale gęstego lasu i winnic, w których się zatrzymano, żeby wytchnąć i podkarmić nieco konie. Tutaj szukający wody petyhorcy zdybali gdzieś zaszytego w gęstwinie chłopca, którego przyprowadzono do rotmistrza. Chłop był

wystraszony niesłuchanie, z trwogi i zimna dzwonił zębami tak mocno, bo świt był chłodny, że dogadać się z nim nie można było. Rycerz niemiecki, dodany podjazdowi za tłumacza, ledwie owego biednego chłopka uspokoił i wtedy dopiero dowiedziano się od niego, że wczoraj przed wieczorem włączyły się tu różne watahy Tatarów i Turków, ale przed nocą zawróciły i zapadły koszem o dwie mile stąd.

Tedy pan Ruszczyć, gdy sobie wypoczęto nieco i konie podkarmiono, kazał ruszyć dalej. Chłopa onego wzięto za przewodnika i w wielkiej ciszy i ostrożności posuwano się naprzód, drożynami bocznymi, po górach, winnicach i laskach, gęsto w tych stronach rozsianych. Dzień się zrobił na dobre, ale był pochmurny i ponury, a po dolinach włączyły się białe mgły jesienne i wiatr od czasu do czasu się zrywał przenikliwy i zimny. Maciek, który się wybrał w lekkiej opanczy, dzwonił zębami z zimna, a może strachu, i szeptał do Piotrka:

- Paniczu, mnie się widzi, że Turcja musi być niedaleko.

- Oczywiście, bo po cóż byśmy szli tak ostrożnie.

- O, laboga, laboga, co to będzie? Co to będzie?

- Cóż, drżysz widzę ze strachu, a wczoraj byłeś taki srogi rycerz?

- Ano... trochę ta ciarki po człeku przechodzą, ale to z zimna.

- Tyś widzę, Maćku, naprawdę tchórz. Jenó strzeż się, żebyś mi despektu nie zrobił.

Maciek nic nie odrzekł, kulił się na koniu, strzelał oczami na wszystkie strony i wzdychał ciężko.

- Czego tak wzdychasz? - pytał Piotrek.

- Ja sobie na ten przykład myślę, co się ta teraz w Rzece dzieje. Stary Kuba wygania bydło na pastwisko, a Krasula Szymkowa ryczy, aż się w całej wsi rozlega. Baby po chałupach rozpalają ognie, a chłopcy wyłażą na przyzby, patrzą na niebo i ziewają okrutnie. O, laboga, laboga, zawsze to ta lepiej było w Rzece siedzieć...Piotrek chciał coś odrzec, gdy nagle na czele kolumny zrobił się ruch jakiś niezwykły. Posuwano się wąską drożyną wśród gęstych krzaków jałowca, dwójkami, a przed wojskiem leżało niewielkie wzgórze i spoza tego wzgórza buchały kłęby czarnego dymu i krzyki jakieś dochodziły. Zaraz też rozległ się głos pana Ruszczyca.

- Rysia!

Na tę komendę konie, wlokąc się dotąd leniwie i na pół drzemiąc, zerwały się i cały podjazd z chrzęstem i brzękiem ruszył kłusem naprzód. Wiatr jeno całował dwubarwiste proporczyki i furkał nimi wesoło. W jednej chwili wpadnięto na owe wzgórze i pan Ruszczyć z rękami odwiniętymi aż po łokieć, z gołą szablą w garści, z piorunowym błyskiem oczu, krzyczał, by tworzone szeregi.

- Żwawo! Rzeško! - zawołał.

Cały podjazd, ciągle pędząc kłusem, sformował się w jedną linię i wtedy oczom Piotrka i Maćka ukazał się straszny widok. Na

dolinie, przez którą płynęła niewielka, ale bystra rzeczka, paliła się jakaś wieś, a dokoła snuło się mnóstwo Tatarów i janczarów tureckich. Połowa z nich siedziała już na koniach, reszta leżała jeszcze na ziemi, śpiąc zapewne, i wrzask szedł stamtąd okrutny. W głębi, nad samą rzeczka, rozbitych było kilka namiotów, bardzo wspaniałych, zapewne jakiego baszy lub murzy tatarskiego, dowódcy tego kosza.

A tymczasem pan Ruszczyć komenderował:

- Spisy w pół ucha końskiego!

Furknęły proporczyki głośno, konie rżały, szable dźwięczały, z obozowiska nieprzyjacielskiego podniosła się ogłuszająca wrzawa, zaroilo się tam jak w ulu, a pan Ruszczyć wołał:

- W imię boże naprzód!

Tatarzy poczęli dosiadać na gwałt koni, janczarowie chwyтали za broń i szeregowali się, ale to wszystko było już za późno, gdyż petyhorcy, rwąc z kopyta, dopadli już do obozowiska i torując sobie drogę spisami, rozbijali wszystko na drzazgi, co tylko spotkali. W jednej chwili cały kosz rozprysł się, jak pszczoły, kiedy to w ul dmuchnie, a pan Ruszczyć, podnosząc do góry szablę, po której brzeszczocie krew ciekła, wołał:

- Żywcem brać! Żywcem brać! Trzymać się kupy!

Cóż przez ten czas działo się z Piotrkiem i Maćkiem?

Gdy się podjazd sformował w jeden szereg, znaleźli się oni na jego końcu, na lewym skrzydle. Na komendę Ruszczyca Piotrek

dobył szabli, ale Maciek pochylił się na koniu, oburącz chwycił się jego grzywy i oczami wytrzeszczonymi, w których malowała się straszna trwoga, patrzył na palącą się wieś i na wijące się po dolinie tatarstwo. Gdy na koniec petyhorcy ruszyli z kopyta z okrzykiem: - Jezus, Maria, Józef! - zerwał się także koń Maćka, a że był gorący i śmigły, kłuty przy tym ostrogami przez chłopaka, który całkiem stracił przytomność, więc wyścignął szkapy petyhorców, dźwigające przy tym mężów dojrzałych i ciężko uzbrojonych. Ani się spostrzegł Maciek, kiedy znalazł się na przedzie i pierwszy wpadł na kupę janczarów, którzy stanąwszy plecami do siebie, wysunęli długie kopie, broniąc się nimi przeciw jeźdźcom. Na te kopie wpadł koń Maćka, przewrócił jednego janczara i spinać się począł dęba, nie mogąc dalej postąpić. W tejże chwili jeden Turczyn, czarny jak smok, spisną zadarł ciągle nieprzytomnego Maćka w nogę. Ból od razu go otrzeźwił i wprawił w szalony gniew. Niepomny na to, że mu śmierć grozi ze wszystkich stron, że jest bezbronny, bo nawet szabli z pochwy nie dobył, krzyknął:

- A ty zbóju! Rakarzu! Poganie!

I podniósł swą potężną pięść, i uderzył nią jak młotem w głowę janczara. Ten zachwiał się, spisę z rąk wypuścił i runął jak długi na ziemię. Na szczęście dla Maćka, który niewątpliwie byłby zginął, bo inni janczarowie pokłuli mu już konia, nadbiegł cały podjazd i stratował janczarów, i poleciał dalej. Jeden tylko Piotrek, widząc

Maćka, jak z podniesioną pięścią pędzić chciał dalej, krzyknął nań:

- Maciek, doładź szabli, bo cię zasieka!

Ale w oczach mazurskiego chłopca palił się już wszystko
pożerający płomień zapału i męstwa. Poprzednia trwoga prysnęła
jak te mgły szare na dolinie, błysk szabel, szelest proporczyków,
rżenie koni, krzyk walki upoił go jak stary miód piastowski i
piastowską krew rozognił.

- Szabli?! - odpowiedział - A na co szabli?! Ja tych rakarzy
pięścią po łbach prać będę!

Ale Piotrek, widząc stąd poważne dla Maćka
niebezpieczeństwo, zatrzymał z trudnością konia i zawróciwszy się,
zawołał z gniewem:

- Doładź mi zaraz szabli, baranie jakiś, rozkazuję ci!

- O, laboga, laboga, jaki to panicz zły. Dobędę, dobędę, co nie
mam dobyć, jeno...

Nie skończył, bo zwała im się na głowę burza
niespodziewana.

W czasie tej krótkiej rozmowy zostali znacznie w tyle za
podjazdem i sami na polu. Spostrzegli to uwijający się Tatarzy i
gromadą z pięciu jeźdźców opadli jak psy obu młodzieńców. Piotrek
rąbał szablą, rum sobie czyniąc, Maciek także, gdy nagle koń jego,
już poprzednio raniony i wiele posoki tracący, skłuty przez jakiegoś
Tatarzyna, zachwiał się i upadł na przednie kolana. W tej chwili
Maciek uczuł, jak mu się coś owinęło koło szyi, na pół zdusiło, ze

straszliwą siłą wyrwało z kulbaki i szalonym pędem ciągnęło po ziemi. Od razu zrozumiał, że go Tatar schwycił na stryczek.

- Najświętsza Panienko - westchnął sobie, bo myślał, że to już koniec jego.

Ale na szczęście uczył, że ciągnięcie trochę słabnie, oparł się więc o jakiś kamień nogami, oburącz chwycił za stryczek i wyężywszy wszystką siłę, szarpnął za sznur. Tatarzyn ciągnący go miał także postrzelonego konia, bo w polu zaczęły już kule gwizdać, koń ten padł i to ocaliło Maćka. O wiele silniejszy od mizernego, chudego Tatara, przyciągnął go do siebie i rękojeścią szabli tak uderzył w głowę, że czaszka pękła jak stara skorupa i poganił, krwią się zalewając, upadł nieżywy na ziemię.

Teraz, zerwawszy ze siebie stryczek, Maciek się wyprostował i westchnąwszy ciężko, rzekł:

- O, laboga, laboga, o malusieńko rakarz mię nie zadusił jak psa.

Obejrzał się i obaczywszy swe szarawary na nic powalane i podarte w czasie ciągnięcia po ziemi, rzekł:

- Ażeby cię święta ziemia wyrzuciła, hyclu jakiś! Takie galante szaty na nic mi zepsował!

Ale nie było czasu myśleć o szarawarach. Przede wszystkim trzeba było się wystarać o konia. Na szczęście po polu bitwy uwijało się mnóstwo tatarskich i tureckich bachmatów, które petyhorcy chwyтали, bo nieprzyjaciel pierzchł na wszystkie strony, więc też i

Maciek zdobył sobie ślicznego kasztanka i zaraz go dosiadł.

Słyszał, jak pan Ruszczyć wołał, by żywcem brać, więc puścił się pędem w pogoń za jakimś Turczyńcem, który piechotą zmykał.

Dopadł go i schwycił ręką za biały turban. Ale turban mu w garści został, a Turczyn z gołą głową, wygoloną jak kolano, zmykał dalej.

Maciek wymyślając „rakarzy Turków” pognał za nim i dopadłszy, schwycił go za kołnierz od kaftana i zawołał:

- Czego, hyclu, uciekasz? Stój, psiawiaro, bo cię zamaluję w gębę, że aż cztery ściany zobaczysz!

Turczyn coś bełkotał i ręce składał, i widocznie prosił o życie, a

Maciek mu gadał:

- Cicho bądź, czego skomlisz? Nic ci nie zrobię, bo tak każe pan Ruszczyć. A znasz ty, rakarzu, pana Ruszczyca?

Turczyn coś mamrotał, a Maciek w śmiech:

- O, laboga, laboga, jaki to głupi naród te Turczyny. Toć z tym hultajstwem po ludzku rozmówić się nie można.

Podniósł głowę i patrzy, że petyhorcy się gromadzą do kupy i pan Ruszczyć krzyczy, by się zbierano. Pokłusował więc, dzierżąc Turczyna na smyczy i znalazł się wśród swoich. Bitwa się skończyła i nieprzyjaciel zmykał, należało zabrać się do odwrotu.

Rozdział osiemnasty

Jako Maciek, choć był wielki rycerz, miał w skórę dostać

Maciek, przybywszy do gromadzącego się podjazdu, począł szukać niespokojnie oczami Piotrka, bo przypomniał sobie, że go

zostawił opadniętego przez kilku Tatarów, którym wprawdzie bronił się jak lew, ale którzy liczebnie silniejsi mogli go byli łatwo pokonać.

Na szczęście ujrzał swego panicza zdrowym, tylko mu lewą rękę owijał jeden z towarzyszy. Poskoczył Maciek do Piotrka.

- Dzięki niech będą Najświętszej Paniencie, że panicz żyją...

cóż to, zaciął panicza poganin?

- A zaciął, ale to nic. Cieszę się, Maciek, żeś się wyrwał temu Tatarzynowi, co cię na smycz schwycił...

- A rakarz okrutny, łeb mu rozbiłem na nic. Ale jakże się panicz wyratowali? Bo tu kupa była tego tatarstwa.

- A cóż, nadbiegli towarzysze i roznieśli na szablach pogan.

Nie było czasu do rozmowy, bo pan Ruszczyć kazał sobie jeńców oddawać. Okazało się, że wzięto dziewięciu Tatarów i czterech janczarów, razem trzynastu. Ale najważniejszy między nimi był wzięty przez Maćka, bo okazał się być murzą tatarskim.

- A to dopiero! Ani nie wiedziałem, że to taka znaczna osoba! - wołał Maciek. - O, laboga, laboga, taki chmyc i to ma być książę?

Skrobnąłem hycła kilka razy smyczą przez plecy. No, no, dziwny naród, takiego chudzinę robić księciem.

Wzięto też kilkanaście koni, mnóstwo szabel, łuków, i wszelkiego sprzętu, zrabowanego przez Turków u ludności, ale pan Ruszczyć kazał to cisnąć, jeno konie i broń zabrać.

- Mości panowie - wołał - trzeba nam teraz zmykać, żeby nas jaki mocny zagon tatarski nie zagarnął. Dzięki Bogu powiodło nam

się i król będzie kontent, ale nie trzeba na szwank tego powodzenia wystawiać, obciążając się zdobyczą. Musimy maszerować prędko, by cało wyjść. Dalej w drogę!

Posuwano się teraz najprostszą drogą, nie krążąc i nie obchodząc wielu miejsc, choć z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych, i nad wieczorem dostano się zdrowo i cało do obozowiska królewskiego pod Tulnem. Na wieść o powrocie podjazdu, który wkraczał do obozu ze śpiewami i muzyką janczarską, wszystko wyległo, co żyło, by witać zwycięskich wojaków i oglądać jeńców tureckich. Pan Ruszczyć tak to urządził, że każdy, kto zdobył jeńca, wiódł swego, a że Maciek wziął najznacznieszego, bo murze tatarskiego, więc jechał na przedzie, wiodąc obok siebie na smyczy skrępowanego Tatarzyna. Maciek podparł się pod boki i czwanił się jak jaki hetman, a z jego czerwonej twarzy zdawały się bić dumne słowa:

- Patrzcie, jaki ja rycerz!

Tak wszyscy wśród okrzyków i muzyki przemaszerowali przed namiot królewski, gdzie król we środku siedział na krześle z poręczami, a koło niego wszyscy książęta niemieccy stali, a też hetmani i wojewodowie polscy. Namiot był rozwany szeroko i król, widać było, jak był kontent, bo sobie tylko wąsa podkręcał i spoglądał na Niemców spod oka, i uśmiechał się. Tedy gdy przyszli, pan Ruszczyć krzyknął:

- Stać!

A potem, zeskoczywszy z konia, szedł do króla, brzęcząc

szablą i ostrogami, a król go pyta:

- Jakże się sprawiłeś, mości rotmistrzu?
- Stało się według przykazania pańskiego, miłościwy panie.
- Masz języka?
- Mam trzynastu.

A wtem król, patrząc po wojsku, dostrzegł Maćka i pyta:

- A ten co za jeden?
- Pacholek pokojowca waszej królewskiej mości, pana Rzeckiego. Wziął własną ręką murze tatarskiego.
- A niech no tu przyjdzie - rozkazał król. Zeskoczył tedy Maciek i prowadząc swego murze, stanął przed królem:

- A, to ten, co w Rawie potrwożył wojsko, a w Krakowie mieszczan pokaleczył i orła widział za Ołomuńcem. Znam go...
osobliwsze on głosi teorie o chłopach i Piastach. Skądże on się, mości rotmistrzu, wziął w twojej chorągwi?

- Jego pan, imci pan Rzecki, na wolontarza przystał do podjazdu.

Tedy król pomyślał chwilę i spytał:

- A gdzie jest Dyakowski?
- Pan Dyakowski - odrzekł Maciek - poszedł z panem Szumlańskim.

- No - rzecze król do Maćka - tyś nic nie winien, boś poszedł za twoim panem. A gdzie twój pan?

- A jest.

- Zawołać mi tu Rzeckiego.

- Panie Rzecki! Panie Rzecki! Król jegomość woła! - rozległy się głosy.

Piotrek, który skrył się za petyhorcami, blady ze strachu, zeszedł z konia i stanąwszy przed królem, padł mu plackiem do nóg, wołając:

- Daruj, miłościwy panie, ale już więcej, bez twego rozkazania, się nie ruszę.

- Hm - rzecze król - wszyscy nasi pokojowcy polecili bez naszej wiedzy. No, tym razem wam daruję, boście się po rycersku znaleźli, ale to ostatni raz.

I począł wraz z książętami niemieckimi przypatrywać się jeńcom, a książęta ogromnie się dziwowali, głowami kiwali i szwargotali między sobą, co to za naród ci Polacy, że języka w sto koni dostali, nie utraciwszy ani jednego swego, kiedy oni trzy tysiące rycerstwa wysłali i ani noga nie wróciła. Zjawił się też wkrótce drugi podjazd pana Szumlańskiego, wiodąc siedmiu janczarów, ale sam pan Szumlański ciężko był postrzelony w brzuch i od tej rany w parę dni potem zmarł.

Kiedy Piotrek, Maciej i pan Dyakowski po oddaniu jeńców wracali do swej kwatery, nadybał ich pan Papieski i wytrzeszczywszy swe małe oczka, i nastroszywszy uszy huknął:

- A tuście mi, skórki na buty! To tak, bez pozwolenia

królewskiego i mojego polecieście na podjazd?! To tak znacie służbę?! Czekajcież, dam ja wam, smyki, bobu!

- Mości panie - rzecze Dyakowski - prawda, zawiniliśmy, ale król jegomość nam przebaczył.

- Ale ja nie przebaczę, paniczku, skórko na buty! Bo chcąc jechać, to aśc powinien najprzód do mnie przyjść i prosić o pozwolenie! Czekajcież, orznę was jak kotów, jakem Papieski! Spiorę wam tak skórę, że rodzona matka was nie pozna! A, do konika, do szabelki i do bitki to jedyni, a służba to nic?! Król jeno woła: - Papieski, gdzie moi pokojowcy? - a Papieski nic nie wie, jeno wstyd je na starość, że takich hultajów w ryzie nie trzyma. Dam ja wam, poznacie zaraz, co to służba i co to stary Papieski. Orznę, orznę jak kotów!

- Ale mości panie...

- Milczesz, kiedy ja mówię, smyku jakiś, skórko na buty!

- O, laboga, laboga! - jęknie Maciek - przecież ja wziąłem do niewoli samego murze tatarskiego. Chudzina to, mizerak, ale zawždy książę...

- Stul gębę mi zaraz! - krzyknie Papieski. - Namaluję ja ci murze tatarskiego bizunami, że przez dwie niedziele nie będziesz mógł siedzieć! Marsz mi do kwater waszych, siedzieć tam nie ruszając się i czekać mego rozkazania.

Poszli jak zmyci, choć Dyakowski śmiał się i mówił do Piotrka, że to strachy na Lachy, ale Maciek był strasznie markotny.

- O, laboga, laboga - mówił - jakże to może być, żeby mnie,
com jest pierwszy w królewskim, a też i niemieckim wojsku rycerz,
com wziął księcia tatarskiego do niewoli, w skórę bito? Czy to my w
Rzece, a pan Papieski to podstarości? O, laboga, laboga, żebym
wiedział, tobym był tego chudzinę Tatarzyna, co się tak prosił i coś
ta mamrotał pod nosem, puścił i do służby jego przystał.

I z rozpacz, przyszedłszy do kwatery, jak się położył spać, to
spał dwadzieścia cztery godziny z rzędu. Obudził się wypoczęty
doskonale, ale taki głodny, że by konia zjadł z kopytami. Rozgląda
się tedy, gdzie on jest i co się z nim dzieje, bo mu się ciągle śniło,
że pan Papieski stoi ze strasznym bizunem nad nim i krzyczy, żeby
się kładł. W namiocie nie ma nikogo, jeno przed namiotem siedzi
Adamczyk i kraje sobie nożem chleb biały i kawał słoniny
węgierskiej, i zajada tak, że aż mu się uszy trzęsą.

- Adamczyk! - zawołał Maciek.

- Jestem, panie.

- Gdzie panicz?

- Poszli do króla jegomości.

- A pan Papieski nie bił skóry?

- Nie, nie słyhać o tym.

- A kto wezwał panicza do króla?

- Hajduk.

- Nie wiesz, po co wzywał?

- A wiem, co nie mam wiedzieć.

- Więc po cóż?

- U króla dziś wielki obiad dla tych ta różnych Niemców, co ich się tu tylu włóczy i panicz mają służbę pełnić.

- A pan Papieski tu nie był? Nie przysłał?

- Nie.

- Hm - pomyślał sobie Maciek - to dobrze, widać w skórę nie będą bili. - Po chwili widząc, jak Adamczyk łakomie zajada, a on jest strasznie głodny, rzecze:

- Adamczyk!

- He?

- Masz ty co jeść?

- Nie mam. - jęknie chłopak, usuwając na bok chleb i słoninę - ta okruszyna sperki to wszystko.

- Otóż łzesz, łyku jakiś! Schowałeś za siebie chleb i słoninę?

Dawaj mi tu zaraz, bo inaczej to ci uszów naderwę!

Z wielką niechęcią Adamczyk odstąpił trochę chleba i słoniny

Maćkowi, który posiliwszy się nieco, wstał, obmył się, poprawił na

sobie ubranie, szablę przypasał i wyszedł. Skierował się ku

namiotowi królewskiemu, gdzie miał być obiad dla Niemców, w tym

naturalnym przypuszczeniu, że skoro tam tylu zasiądzie do jadła, to

niepodobna, żeby i on się nie pożywił, zwłaszcza że wiedział, iż

nikogo zwykle w czasie takich królewskich uczt nie odpychano.

Ale nie wiedział, jaka go nowa miała spotkać przygoda.

Rozdział dziewiętnasty

Jako Maciek złapał Wołoszyna i zjadł z nim dobrą wieczerzą

Namiot królewski był szeroko rozwarty, a za stołem,
mnóstwem świec jarzących oświetlonym, bo już mrok padał,
siedział na środku król, w pysznym cytrynowym kontuszu z ciężkiej
materii, a koło niego wszyscy książęta niemieccy, hetmani,
senatorowie, ogółem z pięćdziesiąt osób. Koło stołu roiło się
mnóstwo służby i nie służby, a koło namiotu różnego żołnierstwa
moc wielka, bo nikogo nie odpędzano. Gwar był wielki przy stole i
Maciek popatrzał na liczne półmiski, których woń szła aż do niego, i
tylko ślinkę połykał i przemyśliwał, jakim by sposobem dostać się
do którego z tych półmisków, których większość prawie nietknięta
ze stołu schodziła.

- Nijak tego nie dokonam bez panicza - myślał sobie i mruczał:

- O, laboga, laboga, co tu jedzenia, a człowiekowi to tak mamrocze
po kiskach, nikiem ów murza tatarski, com go wczoraj capnął.

Począł więc szukać panicza i kiedy się ogląda na wszystkie
strony, patrzy, a niedaleko niego stoi, tyłem doń, a twarzą do stołu
królewskiego jakiś człowiek w białej opończy i dziwacznym kołpaku
na głowie.

- Tfu, na psa urok - mruknął Maciek - to akuratnie jak Wołoch.

Ano zajrzę mu w ślepie.

Zaszedł niespodziewanie i stanął twarz w twarz z owym
człowiekiem. Maciek myślał, że skamienieje. Tak, to był Wołoch, ten
sam, co w nocy w ruinach zameczku knyszyńskiego ich

przestraszył, ten sam, co w Borkach groził im wbiciem na pal, co na promie pod Karczewiem się zjawił, i którego Maciek tak pilnie szukał w zamku rawskim. Stał teraz i czarnymi, palącymi oczami wpatrywał się w króla jak w tęczę i tak był tym zajęty, że wcale nie spostrzegł Maćka.

Tedy Maciek, dygocąc z radości, skoczył nagle i chwytając Wołocha za kołnierz, huknął:

- A tuś mi, rakarzu! Pogański synu! Szpiegu, poznałem cię!
Szpieg jesteś!

Wołoch zatrząsał się cały i ręce, które wschodnim obyczajem trzymał założone na piersiach, opadły mu jak dwie kłody i głosem drżącym zawołał:

- Tak jest, prawda, mości dobrodzieju! Potem, spojrzawszy na Maćka, dodał:

- A, to acpan!

- Tak, ja, hyclu jakiś. Szukam cię od dawna i mam - cię teraz.

O, teraz mi nie uciekniesz, jak w zamku w Rawie. Mam cię, szpiegu, pójdiesz na pal, rakarzu, poganinie przeklęty!

I tak silnie swą potężną dłońią ścisnął kołnierz Wołocha, że ten sczerwieniał cały i rzekł:.

- Udusisz mię, acpan.

A właśnie też i inni poczęli się zbiegać i pytać, co to się stało?

Tedy Maciek rzekł:

- To szpieg turecki, znam go. Złapałem go, jak przeglądał tu

wszystko.

- Trzeba go pod wartę oddać - mówili inni. Poprowadzono więc

Maćka i Wołocha do oficera od gwardii, który wartę trzymał owego

dnia. Oficer zaraz wpadł na Wołocha:

- Szpieg jesteś?!

- Tak jest, mości dobrodzieju.

- Jakiś się tu dostał?

- A przyjechałem, konia ostawiłem między chorągwiami

wołoskimi i przyszedłem tutaj.

- Po coś tu przyszedł? Kto cię przysłał?

Ale Wołoch już nic gadać nie chciał, mówiąc, że wszystko

powie, ale tylko królowi samemu. Czekano więc, aż się skończy

obiad, by dać znać o tym królowi, a tymczasem Maciek począł:

- O, laboga, laboga, poganinie jakiś, miałem ja przez ciebie!

Powiedz, byłeś w Rawie?

- A byłem.

- I gdzieżeś się ty, rakarzu, podział? Cygan jesteś czy

czarownik, żeś się jak w ziemię zapadł. Przecież z panami

draganami cały zamek przetrząsałem, że igłę bym znalazł, a ciebie,

psia wiaro, odszukać nie mogłem.

Wołoch się uśmiechnął, białe zęby wytrzeszczył i rzekł:

- Znam tam piwnicę jedną i w niej się schowałem. Chodziliście

koło mnie i żaden z was na myśl nie wpadł, że ja tam siedzę.

Śmiałem się też z was, co się zmieści.

- No, teraz będziesz się śmiał, ale na palu.

- Jak Bóg da.

W tejże chwili przybiegł hajduk królewski i krzyczał:

- Gdzie ów szpieg?! Dawajcie go do króla jegomości, jeno duchem!

Wołoch zzieleniał i trzęsąc się z wielkiego strachu szedł, pilnowany przez Maćka, wartę i mnóstwo ciekawych. Gdy go przyprowadzono przed króla, który siedział na krześle między panami, król popatrzył na niego i spytał ostro:

- A to ty, hultaju, od tureckiego wojska, szpieg?

Wołoch, dygocąc cały, odrzekł:

- Prawda, ja, mości królu.

- Kto cię tu przysłał?

- Sam Wielki Wezyr, Kara Mustafa.

Król, widząc człowieka strasznie przerażonego, po dobroci swego serca, zaraz zmiękł i rzekł łagodnie:

- Nie bój się, mówię ci to królewskim słowem, że ci i włos z głowy nie spadnie ani cię śmierć, ani żadna kara nie spotka. Głodny jesteś?

- Od rana nic w ustach nie miałem.

- Zaprowadźcie go do pana Gordona i warty mu nie przydawać. Niech go nakarmią i wina dadzą. Nie między bisurmany trafił, ale między chrześcijany. Tak rozumiem, że i sam chrześcijaninem jesteś?

- Chrześcijanin.

- Zaprowadzić go do pana koniuszego Gordona. Maciek

przypomniawszy sobie, że i on jest strasznie głodny, przy tym tłumaczył

sobie, że opuszczać Wołoszyna nie może, poszedł więc z nim do

pana Gordona, gdzie przyniesiono zaraz jeden i drugi półmisek z

pieczystym, wina dano. Wołoch zabrał się do jedzenia, a z nim

Maciek.

- A ty co za jeden? - pyta go pan Gordon.

- Jam jest Maciek Dyrdała, kmieć z Rzeki, taki dobry jak

szlachcic, bom Piast, jeno krzywę gorszy, a też biedniejszy, ale

zawždy lepszy od łyka.

- Co ten głupiec gada? Któż ty?

- Jam jest pacholek pana Piotra Rzeckiego, i ten, co tego

szpiega złapał, i jeść mi się chce okrutnie.

- A toś ty go schwytał?

- A ja.

- No, to ci się należy nagroda. Jeśliś głodny, to jedz.

Maćkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, i tak się

zabrali do półmisków z Wołoszynem, że je w mig sprzątnęli. Popili

sobie wina, przy czym Maciek gadał:

- No, napijewa się, żeby ci łacniej przyszło na palu skończyć.

- Jak Bóg da - odrzekł Wołoch, i teraz był wesół, i przyszedł

zupełnie do siebie.

Ale znów przybiegł hajduk królewski i kazał szpiega

wprowadzić do króla. Maciek także poszedł. Tedy król rzecze do

Wołocha:

- Jakem ci powiedział pierwej, że nie bój się, ani ci włos z głowy nie spadnie, i teraz też ci powiadam, i co się będę pytał, bezpiecznie odpowiadaj. Najprzód pytam się ciebie, ktoś ty jest?

- Wołoszyn, służyłem na dworze pana Gnińskiego, starosty knyszyńskiego. Musi tu być przeszły mój pan, bo się wybierał na tę wojnę.

- Nie ma go tu, bo się zaciągnął do wojska litewskiego.

- Moje to nieszczęście! - zawołał Wołoch. - Dałby mi świadectwo, jakem mu wiernie i poczciwie służył kilka lat, i ja tu bardziej dla niego przyjechałem, mniemając, że pana mego zastanę, a nazad się nie wrócę, i tak proszę miłosierdzia waszej królewskiej mości, abym się mógł mieścić w polskim wojsku.

- O, laboga, laboga! - zawołał Maciek - to ci rakarz łże.

Ale inni poczęli go trącać, mówiąc:

- Milcz, jakże to przy królu śmiesz gadać nie pytany.

A tymczasem król mówi do Wołocha:

- Trzeba, żebyś wrócił z relacją; dam ci konwój, bo i nieprzyjacielowi należy dotrzymać wiary.

- Jak wola waszej królewskiej mości - rzekł szpieg smutno.

Król pytał dalej:

- Jakim cię tu sposobem wyprawiono? Czyli ty na dworze wezyrskim zostajesz, czyli się jakim sposobem bawisz?

- Ja pod chorągwią karalaszów służę, to jest takich, co za

pieniądze są wynajęci do wojska.

- Wiem, wiem - odrzekł król - mów dalej.

- Wyprawiony tu jestem takim sposobem: chan tatarski

oznajmił pierwszy wezyrowi o wojsku waszej królewskiej mości i o

osobie jego, że się pod Tulnem przeprawisz. Nie chciał temu

wierzyć wezyr, ale posłał po hospodara naszego wołoskiego,

nazwiskiem Duka, któremu przykazał surowo, ażeby się starał o

takiego człowieka, który by po polsku dobrze umiał i w Polsce

sługiwał, mówiąc: - Musi być w tej ojczyźnie takowy człowiek, gdyż

ty blisko Polski zostajesz. - My zaś wszyscy jak niewolnicy jesteśmy

u Turków z hospodarem naszym, który mnie wynalazłszy, stawiał

przed wezyrem. Wezyr przez tłumacza mnie się pytał, czy umiem

dobrze po polsku. Odpowiedziałem, że umiem, bom służył kilka lat

u pana polskiego. Wezyr rzekł: - Takiego mi też potrzeba - i mówił

dalej: - Bylebyś mi dobrze usłużył, będziesz miał nagrodę dobrą. - I

zaraz przynosi podskarbi wezyra 50 dukatów i daje mi w ręce, a

sam wezyr mówi: - Żebyś dotarł do samego Tulna, bo się tam ma

wojsko polskie przeprować i król z nimi, jeżeli to prawda. I pytam

się ciebie, czyś ty kiedy widział króla? - Odpowiedziałem: -

Widziałem i nieraz. - Wezyr znowu: - Jakim to sposobem być może,

bywszy u sługi sługą, a miałeś go widzieć kilka razy? Wieleś w

Polsce służył? - Odpowiedziałem, że cztery lata. Wezyr znowu: -

Dość by na ciebie było, żebyś przez cztery lata raz widział króla. -

Jam rzekł: - Mógłbym go po cztery razy widzieć na dzień, gdybym był chciał. - Wtem wezyr z lukim powstał na mnie po turecku: -
Hałam swyle diawor - to jest „łżesz poganinie”. Jam odpowiedział: -
Nie łżę, bo prawdę powiadam. Ciebie, miłościwy panie, pierwszy raz widzę, a króla kiedym chciał, tom widział. - Tym bardziej z większym ferworem na mnie się porwał z wezglówka, tak dalece, że zrozumiałem, iż mi łeb każe uciąć wezyr, o co u nich nietrudno.

Potem, opamiętawszy się, mówi do mnie: - Idź, uczyn to, co każę, a będziesz miał nagrodę dobrą, jak z dobrą wiadomością powrócisz.

Umilkł Wołoszyn i cisza była, bo wszyscy z wielką ciekawością słuchali tej relacji. Tedy król, pomyślawszy chwilę, pyta:

- Tenże to ja król, co w Żółkwi i Jaworowie?

- Ten, wasza królewska mość.

- Idźże więc z Panem Bogiem, a powiedz wezyrowi swemu, żeś mnie nie tylko widział, aleś i gadał ze mną, i oznajmij mu, że król polski kazał ci powiedzieć, miłościwy wezyrze, że ci się w niedziele stawi na śniadanie. - To rzekłszy, król podniósł się i kazał zaraz Wołoszyna odprowadzić do przedniej straży, i konwój dać mu na dwie mile od obozu. Po czym zawrócił i poszedł do swych namiotów.

Rozdział dwudziesty

Jak Piotrek przepędził wigilię bitwy wiedeńskiej

Maciek wraz z innymi wysłuchiwał opowiadania Wołoszyna i gdy król zniknął, a szpiega straż odprowadziła, chciał wołać, że to

wszystko nieprawda, co on mówi, ale nie było już czasu. Przy tym

zjawił się Piotrek i pyta:

- No i cóż, capnąłeś w końcu Wołoszyna?

- O, laboga, laboga, paniczu, przecież on wszystko zełgał. Zali on nie od Wilanowa króla szpieguje? Trzeba, żebyście zaraz poszli do króla i opowiedzieli mu, jak się rzeczy mają.

A Piotrek pomyślał chwilę i rzekł:

- A to na co? Król mądrzejszy jest od nas obu i wie dobrze, co czyni.

- Jakże to?

- A tak, bo Turcy okrutnie się króla boją, ale dotąd nie wierzą, by on szedł Niemcom z pomocą, ile że pakta jeszcze nie wyszły. Ale teraz, gdy się dowiedzą o tym od Wołoszyna, jeszcze większy strach na nich padnie. A przy tym, bądź spokojny, Wołoszyn tu już nie wróci i szpiegować nas więcej nie będzie, boby mu król kazał łeb uciąć. No, chodźmy spać.

Wszystko to jakoś nie podobało się Maćkowi, ale że nic już poradzić nie mógł, więc usłuchał Piotrka i zabrał się do spania, w czym, jak wiemy, był mistrzem nie lada.

I dobrze zrobił, że się wywczasował, bo zaraz też rozpoczęły się wielkie wypadki.

W parę dni po owej historii całe wojsko, porzuciwszy pod Tulnem obozy i tabory, ruszyło pod Wiedeń. Maszerowano przez dwa dni po manowcach i wieczorem dnia 11 września, po

zachodzie słońca, całe wojsko stanęło na nocleg w lasu dębowym,

o wielkie pół mili od Wiednia.

- Maciek - powiada Piotrek - widzisz Wiedeń?

- A gdzie?

- O, tę wieżę.

- A widzę.

- To jest wieża kościoła św. Szczepana.

- To my już, paniczu, pod Wiedniem?

- A pod Wiedniem. Jutro będzie bitwa.

- O, laboga, laboga, i z samym tym ich hetmanem, co się tak po psiemu nazywa?

- Az samym wielkim wezyrem. Opatrzże broń, kulbaki, konie i wywczasuj się dobrze. Ja idę na służbę do króla jegomości.

Zaraz też przyszedł oficer i rozkazywał, że na tę noc hasło

będzie: „Imię Panny Mari ”, żeby zachowano wielką ostrożność,

ogni nie palono, tytoniów nie kurzono, a to pod gardłem. Konie mają

być w rękach trzymane. Piotrek więc powtórzył swój rozkaz

Maćkowi i poszedł do namiotu królewskiego.

Namiołek małeńki był, a w nim materac rozłożony, który na

koniu wożono. Król w chwili gdy Piotrek przyszedł, siadł sobie na

materacyku i rzekł:

- Sfatygowany jestem bardzo, a nie mam się na kogo spuścić.

Trzeba by, abym miał wczas jaki na jutrzejszą pracę. Będzie dzisiaj

dawał znaki komendant wiedeński, graf Starhemberg, trzeba by mi

ich przypilnować, a nie mogę.

Piotrek, usłyszawszy to, wysunął się naprzód i rzecze

nieśmiało:

- Na mnie niech się wasza królewska mość spuści, to ja dopilnuję.

- A to ty, Rzecki?

- Tak, ja, miłościwy panie.

- No dobrze, pilnujże i dawaj mi znać.

To rzekłszy, król położył się na materacu, a Piotrek siadł sobie przy drzwiach na taboretku, który nosił zawsze masztalerz w trokach, bo po tym taboretku król, jako był ciężki i otyły, siadał zawsze na koń. Noc była cicha i pogodna. Niebo z ciemnego szafiru zasiane było gwiazdami i widać było z daleka w mgle nocnej błyszczące światełko od latarki, zawieszanej na wieży św.

Szczepana. W obozie polskim panowało głębokie milczenie.

Wszyscy spali, chcąc nabrać sił do jutrzejszej walki, która dla wielu tych rycerzy miała już być ostatnią, niestety. Niekiedy tylko koń parsknął, zabrzączały broje i niekiedy wiatr od obozowisk tureckich, w których gorzało wielkie ognisko, przynosił daleki i stłumiony gwar i wrzawę.

Piotrek siedział przed namiotem z okiem wlepionym w światełko na wieży św. Szczepana i marzył, i myślał o Rzece i o swoich dziwnych przygodach, które go zawiodły aż tutaj pod miasto cesarskie, przed wojska tureckie. Czyż mógł się spodziewać,

wyjeżdżając z Rzeki jako wygnaniec, że w kilka tygodni potem będzie pokojowcem królewskim? - Dziwne losy - mówił sobie i marzył, marzył dalej.

A wtem, gdy tak rozmyślał, z wieży św. Szczepana wypada raca, wzbija się w górę jak wąż i tu na znacznej wysokości pęknąwszy, deszczem iskier spadła i zgasła. Porwał się Piotrek i zajrzawszy do namiotu, gdzie było ciemno, mówi:

- Miłościwy królu, już jeden znak wyszedł. Sądził, że król śpi i nie usłyszy go, a tymczasem z ciemności ozwie się głos.

- To już wie, żem Dunaj przeszedł. Pilnuj że dalej, mój Rzecki, i zaraz mi mów.

Usiadł znowu Piotrek na taboretku i znów wpatrzył się w światełko na wieży kościelnej. Nie upłynęło i dwóch pacierzy, wypada druga raca. Więc Piotrek woła:

- Miłościwy królu, już drugi znak!

- To już wie, żem się od taborów ruszył. Pilnujże dalej.

Piotrek więc pilnował, rozmyślając sobie, jakim to sposobem król mógł się tak umówić z komendantem wiedeńskim, kiedy miasto podobno tak było otoczone przez Turków, że chyba ptakiem być trzeba było, żeby się tam dostać. Ale przypomniał sobie, że w Tulnie mówił mu pan Dyakowski, iż do króla przyływają rybacy Dunajem z Wiednia i różne wiadomości mu przywożą. Kiedy tak myśli, aż tu wypada trzecia raca, wzbija się wyżej niż dwie poprzednie i wspaniałym deszczem gwiazd złocistych spada na

wieżę, którą od ich blasku przez chwilę widać, ze swymi iglicami na szafirowym tle nieba.

- Miłościwy królu! - woła Piotrek - już trzeci znak.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - ozwie się król - Starhemberg już wie, że się tu, na tym miejscu, z wojskiem znajduję.

I zaraz też król, który dotąd kręcił się niespokojnie na materacu i wzdychał sobie nieraz żałośliwie, uspokoił się i kazał Piotrkowi, by mu nakręcił zegarek na godzinę trzecią po północy i umieścił przy nim tak, żeby ekscytan mógł go obudzić. Gdy to Piotrek zrobił, król się położył mówiąc:

- Nie odchodź od namiotu, mój Rzecki, i bądź na moje zawołanie.

Owinął się więc Piotrek burką i położył się na ziemi przed namiotem, drzemiąc, bo spać nie chciał, żeby być na każde zawołanie królewskie. Przy tym tysiące myśli roiło mu się po głowie.

Ciągle mu Rzecka przychodziła do głowy, stary dwór ojcowski, niwy teraz złote od złotych ściernisk, od grusz, purpurą liści jesiennych okrytych. Niekiedy podniósł oczy i widział nad sobą niebo szafirowe, usiane tysiącami gwiazd, które zdawały się mrugać do niego. Na wieży św. Szczepana, skąd niedawno złociste węże raz wybiegały w niebo, gorzała ciągle owa tajemnicza latarka. W obozowiskach tureckich pogasły także ognie i zapanowała w nich cisza. Noc zrobiła się cicha, senna, pełna tajemniczych szeptów,

szmerów, grosów jakichś głuchych. I znów przyszła Piotrkowi na myśl jutrzejsza bitwa. Od czasu ostatniego podjazdu, w którym wziął udział i w którym opadnięty przez pięciu Turków, bronić się ciężko musiał i byłby z pewnością zginął, gdyby nie pomoc towarzyszy, pewna zgroza go przejmowała na myśl o Turkach.

Przypomniawszy sobie teraz ich twarze dzikie, ciemne, oczy ukośne czarne, gorejące jakimś złowieszczym blaskiem, ich szable krzywe, zgrzyt zębów i najrozmaitsze wybiegi w ataku. Zwłaszcza jeden Tatar był straszny i ten go najwięcej atakował.

- Ta - rzekł sobie w końcu - tak będzie, jak Bóg da.

Chciał zasnąć trochę, ale nie mógł. Jutrzejsza bitwa podnosiła się przed jego duszą rozgorączkowaną niby widmo jakieś blade, nieokreślonych kształtów i straszne. Wtem w namiocie królewskim spadł ekscytan, a król też zaraz zawołał:

- Pokojowiec, jest tam który?!

- Jestem - odezwał się Piotrek.

- A kto? - pyta się znów król.

- Rzecki.

- Ano dobrze. Mój Rzecki, biegaj do księży kapelanów i pobudź ich, żeby się do mszy gotowali, a z bębnów niechaj zrobią mense.

Pobiegł Piotrek do namiotu księdza Przyborowskiego, z którym stał razem jakiś Włoch kapucyn, brodaty i czarny, którego księdzem Markiem zwano. Od piechoty przyniesiono bębny i obaj księża

wśród ciemnej jeszcze nocy, jeno przy blasku kilku pochodni,
odprawili dwie ciche msze, których król słuchał klęcząc i bijąc się co
chwila mocno w piersi. Piotrek słuchał mszy księdza
Przyborowskiego, a pan Dyakowski owego Włocha i po
skończonym nabożeństwie przychodzi do Piotrka i mówi:

- Rzecki; wiesz ty, co się stało?

- No?

- Ów kapucyn Włoch, ksiądz Marek d'Aviano, przy
dokończeniu mszy zamiast *Ite missa est* *, wymówił *Vinces*

Joannes. **

* *Ite missa est* (łac.) - idźcie, msza skończona

** *Vinces Joannes* (łac.) - zwyciężysz, Janie

- Nie może być?

- A tak. To panowie po mszy przystąpili do niego i rzekną mu to
włoskim, to łacińskim językiem, bo on po polsku nie rozumie: -
Może Pan Bóg da, że twoja, księże kapelanie, profecja weźmie
swoją skuteczną. - Jaka profecja? - pyta kapucyn. Tedy powiadają mu,
co wyrzekł. Ale Włoch mocno parł się tego i ofuknął ich: - Co wy na
mnie na imposturę składacie, alboż ja to szalony, takie rzeczy
mówić, nie jestem ja żaden prorok. - Ale wszyscy i ja to sam
słyszałem. Rozumiem tedy, że Bóg przez usta owego Włocha, który
jest mąż świątobliwy, przemówił i zwycięstwo przy nas będzie.

- Dałby to Bóg, bo obozowiska tureckie, którym się całą noc
przypatrywałem, są wielkie jak morze.

Ale już ruch w obozie się zrobił i wychodziły rozkazy, by siadano na koń.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jako Maciek ujrzał diabła i świętego tureckiego

Dzień się zrobił na dobre, gdy wojsko całe wysunęło się z lasu i długą linią dążyć poczęło ku obozowiskom tureckim. Niebo było czyste, bezchmurne i słońce wspaniale oświecało niezwykle widok rycerstwa, zgrzmadzonego w tak znacznej liczbie. Spuszczano się powoli z góry, zwanej Kahlenberg, na której stał klasztor, i wietrzyk, wiejący od obozu pogan, przynosił stłumiony, daleki huk dział. Wiedeń, z iglicą wieży św. Szczepana, jasno oświeconą od słońca, widać było jak na dłoni. Z wałów jego co chwila wypadała kępka białego dymu, co świadczyło, że Turcy szturmują do murów i z armat biją.

Król dnia tego, na zawsze w historii pamiętnego, miał na sobie czarny kontusz grodeturowy i czerwony kołpaczek z czaplim piórem na głowie. Siedział zaś na arabczyku płowej maści, którego zwano „Pałasi”, o cienkich nóżkach, szyi jak u panienki, zwinnym i tak delikatnej skóry, że każdą żyłę znać było pod nią. Król przepasany był złotym łańcuchem i rozkazał, aby od największego żołnierza polskiego aż do ostatniego ciury obozowego każdy był przepasany powrósem słomianym, a to dla odróżnienia naszych od Tatarów Selingereja, którzy podobnie byli i ubrani, i uzbrojeni, i żeby Niemcy nie strzelali naszych zamiast Turków.

Bitwa rozpoczęła się na lewym skrzydle, gdzie stały wojska cesarskie, i trwała dość długo. Z powodu dymu nie było nic widać, co się tam dzieje, a choć do króla przyjeżdżali co chwila jacyś panowie niemieccy, widocznym było, że się niecierpliwił. W tyle za orszakiem królewskim stali jego dworzanie, a między nimi pan Dyakowski, Piotrek, Maciek i Adamczyk, konno i zbrojno. Maciek, jak to u niego było we zwyczaju, wpatrując się w bitwę, pobladł mocno, głośno zębami dzwonił i tak się oburącz dzierzył grzywy swego tatarzyna, jakby się bał spaść z niego. Widzieli to inni i śmiać się poczęli.

- Czy to ten sam - mówili - co wziął w podjeździe pana

Ruszczyca murze tatarskiego do niewoli?

- Ten sam.

- Nie może być, przecież to tchórz oczywisty. I po co to taki kiej jedzie na wojnę?

Zgniewało to Piotrka, który słyszał wszystko, więc zbliżył się do Maćka i syknął:

- Znowu tchórzysz. Despekt i wstyd mi jeno robisz. Czegóż tak dzwonisz zębami?

- O, laboga, laboga, paniczu, to z zimna, a też z alteracji. Taka wielgaśna kupa Turków, jakże my ich zmożemy?

Piotrek chciał coś odrzec, gdy nagle rozległ się donośny głos królewski:

- A jest tu rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?

Było zaś regułą wojskową, że od każdej chorągwi był rezydent.

Przybiegł on zaraz, chłop tęgi, na karym bachmacie, osadził go gracko przed królem i skłonił się czapką.

- Biegaj, waszeć do chorągwi swojej - rzecze król - aby tu pan porucznik do mnie z nią przychodził.

W pół pacierza chorągiew owa z szumem i chrzęstem przypadła przed króla, a jej porucznik, pan Zwierzchowski, podkomorzy łomżyński, w misiurce, pancerzu i ze skrzydłami orlimi u ramion, przerzuconych lamparcią skórą, osadził bachmata przed królem i rzecze grubym, chrapliwym głosem:

- Przyszedłem tu za znakiem pańskim, czekam dalszego ordynansu waszej królewskiej mości.

Król, wzięwszy perspektywę, którą za nim woził pan

Matczyński, koniuszy królewski, długo patrzył na wojsko tureckie, po czym rzecze do porucznika:

- Widzisz, waszeć, tę kupkę, panie poruczniku?

- Widzę, miłościwy królu.

- Otóż to, tam sam wezyr stoi. Żebyś mi, waszeć, panie poruczniku, tam w nim kopię skruszył, rozkazuję!

Pan Zwierzchowski skłonił się, zawrócił konia na miejscu i w szczupakach popędził do swej chorągwi, której proporczyki czarne i gorącożółte wiatr jeno całował. W drodze natknął się na Piotrka, który tu umyślnie podjechał, bo znał pana Zwierzchowskiego ze stron rodzinnych i za życia nieboszczyka ojca często widywał go w

Rzece. Pan Zwierzchowski spojrział raz na Piotrka, spojrział drugi i

powiada:

- Ki diabli, skąd cię znam.

- A tak - odrzeczł Piotrek - jam jest Piotr Rzecki z Rzeki.

- Rzecki? A cóż ty tu robisz?

- Pokojowcem jestem królewskim. Ale nie o to idzie; weź mię, waszmość, na tę imprezę.

- Widać, że ci życie niemiłe, ale jedź, skoro chcesz.

I pognął do swoich, którzy też zaraz ruszać poczęli, a Piotrek dopadł do ciągle dygocącego Maćka, krzyknął:

- Za mną!

Maciek ruszył się, a za nim Adamczyk, i tak we trzech galopem dogнали chorągiew husarską, która szła już rysią, a konie jeno parskały, zbroja chrzęściała, od skrzydeł szedł taki szum, jakby stado orłów przerzynało powietrze. Ten szum, ten chrzęst, rycerskie postawy wojowników, którzy w dwieście niespełna koni szli w sam środek potęgi pogańskiej, zdawał się ożywiać Maćka. Powoli podniósł głowę, wyprostował się, osadził lepiej na kulbace, czapkę przekręcił na bakier, dobył szabli, a oczy mu się świecić poczęły jak u wilka, nozdrza rozszerzyły, jak gdyby wciągał w siebie upajającą woń bitwy. I dziwna rzecz, gdy chorągiew ciągle rysią postępująca zbliżyła się do Turków, ci, czy zdziwieni taką małą garstką, czy też sądząc, że przechodzą Polacy na ich stronę, dość, że ich nie atakowali, owszem, usuwali się na bok.

- O, laboga, laboga, paniczu - mówił Maciek - jaki to głupi

naród te Turki.

Ale już chorągiew była niedaleko namiotów wezyrskich,
których było takie mnóstwo, że całe miasto tworzyły. Tedy pan
Zwierzchowski, który dla wielkiej wrzawy boju i huku armat głosem
komenderować nie mógł, podniósł szablę w górę i ruszył z kopyta.

Zaraz też cała chorągiew złożyła kopie w pół ucha końskiego,
według zwyczaju husarskiego, i pędem zerwała się naprzód,
krzycząc: - Jezus! Maria! Józef! - i leciała jak wichher, tratując i
wywracając wszystko przed sobą. Ten nagły, niespodziewany i
zuchwały atak wywołał straszny popłoch. Część wojska tureckiego,
stojąca koło armat przed namiotami wezyra, poczęła uciekać, a

część jak osy oskoczyła rwącą naprzód i rum sobie czyniącą
kopiami chorągiew husarską. Maciek i Piotrek, którzy się znajdowali
na lewym skrzydle husarii i kopii nie mieli, tylko szable, musieli
wytrzymywać na sobie największy nacisk. Ale obaj rozgrzani byli
walką, zapachem krwi, tym prądem największego natężenia sił
ludzkich, jakim jest każda bitwa. Maciek już teraz nie tchórzył;
obudził się w nim stary Piast i prał, naprawdę prał, aż wióry leciały...

Tak dopadli do samych namiotów wezyra, skąd uciekać
poczęło mnóstwo kobiet i dzieci, a pan Zwierzchowski krzyczał, co
miał sił:

- Zawracaj! Zawracaj! Kupą, mości panowie! Zawracaj!

Jakoż husarze poczęli zawracać, dokonawszy rozkazu

królewskiego, a w tej chwili z jakiegoś namiotu wysunął się Murzyn, nagi całkiem, jeno w czerwonym turbanie na głowie, czarny jak smoła i dzierżąc w zębach długi kindżał, a w ręku jatagan turecki, skradał się jak wąż do Maćka, który zatrzymał się i ocierając pot z czoła, patrzył na husarię, jak się formowała do odwrotu. Maciek spostrzegł skradającego się Murzyna, którego duże okrągłe oczy, dzikie i straszne, wlepione w niego były, a że nigdy nie widział czarnego człowieka, a nawet nie słyszał o tym, żeby tacy istnieli na świecie, zląkł się strasznie, bo myślał, że to diabeł:

- O, laboga! - wrzasnął - ratujta!

Ale wśród wrzawy bitwy nikt go nie słyszał, a Murzyn tymczasem podpełzł do skamieniałego Maćka i podciął jataganem pęciny koniowi. Koń szarpnął się, skoczył i padł, a Maciek, nie wiedząc co czynić, w rozpacz ostatniej jak tnie na odlew szablą, tak głowa Murzyna potoczyła się na ziemię, przewracając strasznie białkami oczów. Maciek ocalał, wydobył się spod konia, obejrzał i widzi, że husaria w pędzie odjeżdża i” jego tu zostawia samego.

Zdjęty śmiertelną trwogą, pobiegł parę kroków, krzycząc:

- O, laboga, paniczu! Weźcie mnie z sobą! W tejże chwili zaplątał się w sznury namiotu, padł, a namiot runął na niego, przykrywając go ciężką materią całkowicie. Leżał tak na pół uduszony, na pół nieprzytomny dość długo, nad słuchując, co się dzieje na zewnątrz. Wrzawa powoli ucichała, tylko armaty ciągle grały, co dowodziło, że husaria polska już się oddaliła. Okropna go

trwoga zdjęła na myśl, że tu został w pośrodku obozowiska tureckiego. Dochodziły go liczne głosy, bieganie, płacz kobiet i dzieci, krzyki jakieś dzikie. Chcąc w końcu dowiedzieć się, co się dzieje, a zarazem zaczerpnąć świeżego powietrza, którego mu tutaj pod ciężką materią brakowało, począł lekko się poruszać i odgarniać sprzed siebie namiot. Po chwili błysło światło; uchylił ostrożnie materii i pierwszą osobą, którą ujrzał, był siedzący na ziemi nie opodal od niego osobliwszy jakiś Turek. Był on nagi, tylko biodra miał przewiązane białą, brudną szmatą, a na głowie turban zielony; był chudy jak szczapa, jeno skóra i kości. Siedział na ziemi, a z piersi, z szerokiej rany krew mu się sączyła i broczyła po tym biednym, mizernym ciele. Siedział i kiwał się, i głosem posępnym jęczał:

- La Ał ach, la hu, la hak, la kachar!

Maciek nic z tego nie rozumiał, ale tak go zaciekał ten osobliwszy Turczyn, że zapomniał

o

grożącym mu

niebezpieczeństwie, tylko leżał i patrzył na kiwającego się derwisza.

Upłynęło tak dość dużo czasu, wśród ciągłego huku dział,

przewijania się Murzynów i janczarów, gdy nagle w powietrzu

rozległ się znany dobrze Maćkowi szum skrzydeł husarskich, krzyki

straszne Turków, popłoch i ucieczka ich ogólna. To szedł pan

Miączyński z husarią, by na rozkaz królewski rozbić do reszty

wojska tureckie.

Rozdział dwudziesty drugi

Jako Maciek w namiotach wezyrskich spotkał się po raz

ostatni z Wołoszynem

Gdy na skutek nowego ataku husarii polskiej całe wojsko tureckie poczęło uciekać, Maciek wydobył się ze swego ukrycia.

Niebezpieczeństwa już nie było żadnego, bo właśnie husaria przeleciała i tratowała Turków dalej, chyba od swoich, którzy mogli Maćka wziąć za poganina. Ale na szczęście powróścił wedle rozkazu królewskiego miał w całości na sobie, a przy tym za husarią szli zaraz dragoni, z którymi Maciek jeszcze od Raby był w przyjaźni. Pędzili oni rysią właśnie w kierunku Maćka i owego kiwającego się ciągle świętego tureckiego, który, tyłem do nich obrócony, nie przestawał posepnie jęczeć:

- La Ał ach, la hu, la hak, la kachar!

Jeden z dragonów dopadł do nędzarza i zamierzył się nań szablą. Maćkowi żal się zrobiło tego nędznego starca, więc skoczył, wołając:

- Panie dragan, nie zabijaj go!

Ale już było za późno, niestety. Szabla z głośnym świstem spadła na głowę biednego starca, zadrżał on, podniósł ręce i, zawoławszy: - la Ałlach... - padł twarzą na ziemię, brodząc krwią dokoła.

- O, laboga, laboga, panie dragan, żeby cię wciurności porwali!

Co on ci był winien? - wołał Maciek, uniesiony gniewem.

Dragon rozogniony walką spojrział na Maćka zaszłymi krwią oczami i zawołał:

- A ty coś za jeden?! - i podniósł szablę, chcąc nią ciąć Maćka.

Byłoby źle z chłopakiem, gdyby nagle nie zjawił się Adamczyk, który schwyciwszy dragona za rękę, rzekł swym flegmatycznym głosem:

- Panie dragan, daj spokój, to pan Maciek.

- Adamczyk! - krzyknie Maciek uradowany - a ty tu co robisz?

- Szukam pana. Panicz Rzecki włosy sobie rwie z rozpacz i poszedł z husarzami szukać pana, a mnie kazał iść z draganami.

- Poczciwy panicz. Nie masz konia?

- Żeby tak o co, jak o to. Dyć tu pełno koni lata po polu.

- Złapże mi jednego i przyprowadź.

W ćwierć pacierza Adamczyk przywiódł pysznego bachmata, ze złocistą kulbaką turecką i rzędem nabijanym kamieniami drogimi.

Maciek siadł, odetchnął sobie i powiada:

- O, laboga, laboga, a tożem się strachu najadł.

Tymczasem dragoni przejechali i nadeszła piechota niemiecka w białych kamizelkach, i zaraz rzuciła się do rabowania namiotów wezyrskich.

- Proszę pana - ozwie się Adamczyk - nas u ojca w Warszawie jest dwanaścioro dzieci.

- Więc co?

- O, tu można fortunę zebrać, a Miemcy wszystko rozdrapia,
takie chytre szelmy.

- Jedźmy, może i my co zdobędziemy, ale skierujmy się na
lewo, bo tam jeszcze nikogo nie ma.

Jakoż tak zrobili. Przed nimi leżało całe miasto namiotów z
najprzedniejszych jedwabnych materii, złotem i srebrem szytych.

Gdy się trochę więcej zagłębili, spotykając tu i ówdzie pojedynczych
janczarów, którzy zaraz uciekali, napotkali w pośrodku
przepysznego ogrodu z samych żywych kwiatów, ogromny namiot
złocisty, ze srebrnym na szczycie półksiężycem i buńczukiem przed
nim w ziemię wbitym. Maciek skoczył i deptając one kwiaty
wonejące, wśród których dla chłodu biła w górę fontanna, wyrwał z
ziemi ów buńczuk, mówiąc:

- Tu musiał mieszkać sam wezyr.

A wtem trąci go Adameczyk i rzecze swym powolnym tonem:

- Panie, patrz no pan.

Spojrzał Maciek We wskazanym kierunku i zgroza go zdjęła. Z

boku nieco był wkopany w ziemię gruby, pał, a na palu tym wbity był
człowiek, już nieżywy, pokręcony straszliwie, widocznie od
męczarni. Gdy spojrzał na jego twarz wykrzywioną boleśnie
zawołał:

- O, laboga, laboga, a dyć to Wołoszyn! Tak, to był ten sam

Wołoch, którego przed paru miesiącami spotkali w ruinach
zameczku pod Knyszynem, który im w Borkach groził palem,

którego Maciek na próżno szukał w Rawie, a pod Tulnem schwycił w obozie królewskim. Nagi był, jeno na głowie miał swój dziwaczny kołpaczek i skonał widać od dawna, bo fetor od niego szedł i rojem much obsiadło jego sine, połamane i krwią zalane ciało.

- Oł, widzisz - mówił Maciek - na co ci to przyszło. Tak ci pogański Turczyn zapłacił za twoje szpiegowanie. Adamczyk, chodźmy stąd, bo mię cknąć poczyna.

Ledwie ujechali kilka kroków, gdy słyszą za jednym z namiotów krzyki niewieście, płacz dzieci, wrzaski jakieś dzikie. Puścili się tam i widzą, że trzech czarni jak smoła Murzyni wywłóczą z namiotu kobiety i dzieci i mordują je niecnie jataganami. W dali czwarty Murzyn goni jakiegoś ptaka z gołą szablą w garści, a ptak ogromnego wzrostu podskakuje, skrzydłami bije i ucieka. Kilka kobiet leżało już zamordowanych na ziemi, a obok nich dzieciątka z poucinanymi główkami. Właśnie w chwili gdy na tę rzeź Maciek i Adamczyk nadjechali, Murzyn wyrwał z objęć klęczącej przed nim kobiety dziecinę i chciał ją zamordować, ale matka schwyciła go za rękę i szarpała się z nim, krzycząc w śmiertelnej trwodze. Na ten widok żałość i gniew ogarnął Maćka.

- Adamczyk! - zawołał - dalej na tych smoków, co rzeza białogłowy i niewiniątka.

Sam też zaraz skoczył na owego Murzyna, który się szarpał z niewiastą, i jednym zamachem szabli rozplątał mu głowę. Murzyn padł, a niewiasta jak szalona, z niewypowiedzianym uczuciem

radości schwytała dziecinę i tuląc ją w swoje objęcia, usiadła na ziemi, płacząc głośno. Adamczyk też prędko załatwił się z dwoma innymi, ale ledwie skończyli, gdy z namiotu świsnęło kilka strzał i jedna przeszła Maćkowi czapkę na wylot, a zaraz potem wypadło pięciu Murzynów z jataganami w rękach i jak pantery rzucili się na obu młodzieńców. Maciek rąbnął parę razy szablą, ale widząc, że tu wśród namiotów, ciał kobiecych, mnóstwa porozrzucanych sprzętów może być źle, krzyknął:

- Adamczyk, w nogi!

Spiął konia ostrogami i oganiając się ścigającym go Murzynom, zawrócił i uciekł. Co się stało z Adamczykiem, nie wiedział. Wyszczępiwszy się od Murzynów, przed którymi czuł jakąś trwogę, zawsze uważając ich w głębi duszy za żywych diabłów, postanowił wrócić do swoich, bo tu, wśród namiotów, ze wszech stron czyhało niebezpieczeństwo. Bitwa gdzieś w oddali jeszcze wrzała, harmaty grały i dym unosił się dokoła. Nad słuchując pilnie, pokierował się za gwarem głosów ludzkich i wkrótce znalazł się wśród husarzy polskich, którzy maszerowali za królem, wolno postępującym naprzód. Przyłączył się więc do orszaku królewskiego, przyrzekając sobie, że już się stąd nie oddali. Niespokojny był tylko o Adamczyka, który nie wiadomo, czy się wyrąbał z pośrodku Murzynów.

Tymczasem wieczór zapadł i król zatrzymał się w namiocie tureckim, siedząc całą noc na taboreciku, otoczony dwoma

regimentami piechoty cesarskiej, która nikogo wpuszczać i wypuszczać nie chciała. Za tą piechotą rozłożyła się husaria, ale całą noc konie w rękach trzymała, bo ciągle było słychać strzały, a koło północy nastąpił straszny ogień i wybuch prochów, zapalonych przez jakiegoś hultaja z wojska polskiego. Huk był tak potężny, że myślano, iż ziemia się wali; wszystko też siadło na koń i czujność była wielka. Tak tę noc bardzo niespokojnie przepędzono.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jako Maciek, wyjechawszy na spotkanie cesarza

niemieckiego, spotkał się z bizunem pana Papieskiego

Nazajutrz rano, gdy już piechota cesarska rozstała się i król, jak mówiono, wybierał się zwiedzić oswobodzony Wiedeń, Maciek począł czynić poszukiwania panicza. Znalazł go na koniec w orszaku królewskim. Obaj się niezmiernie ucieszyli z tego spotkania.

- Maciek - mówił Piotrek - juzem myślał, że cię Turczyn usiekł.

Kiedym wrócił z onego ataku pana Zwierzchowskiego, a ciebie nie było, serce mi się ścisnęło. Poszedłem więc znowu z panem

Miączyńskim, a Adamczykowi iść kazałem z dragonami. Ale, ale, a gdzie jest Adamczyk?

- Nie wiem, paniczu. Znalazł on mię wczoraj i razem

pojechaliśmy na zdobycz do namiotów wezyrskich. Ale opadli nas diabli...

- Jacy diabli?

- O, laboga, laboga, a bo to panicz nie wiedzą, czy co? Pełno

ich tu było w wojsku tureckim. Czarne bestie jak smoki.

- To nie żadne diabły, jeno Murzyny. Ludzie tacy jak my, tylko czarni od tego, że w ich krajach słońce jest gorące i tak ludzi opala.

- Jeszczem też o tym nigdy nie słyszał.

- Boś ty dużo rzeczy jeszcze nie słyszał. Ale cóż Adamczyk?

- A cóż, opadły nas owe, jak ich tam panicz nazywa, Murzyny, i ja krzyknąłem: - Adamczyk, w nogi! - Ja uciekłem, ale co się z Adamczykiem stało, nie wiem. Może go tam te czarne Murzyny usiekły. Rzucalo się to na nas jak żmije. Nasiękłem tego straszną kupę, ale moc ich była taka, że zdzierzyć nie mogłem. Pewnikiem Adamczyka zarżnęli.

Ale i Adamczyk się znalazł. Gdy już jechali w orszaku królewskim do Wiednia, napotkali go, jak wiódł pięć przednich koni i dwóch Murzynów w pętach. Konie były obładowane zdobyczą wszelaką.

- Bój się Boga, Adamczyk - rzecze do niego Piotrek, gdy się już powitali - co ty będziesz na wojnie z tym wszystkim robił?

- Najprzód - odrzecze flegmatycznie Adamczyk - wojna się już skończyła, bo Turczyn uciekł. Potem nas w Warszawie jest dwanaścioro rodzeństwa i z głodu nieraz przymieramy. Wiecem też nabrał Turczynowi złota i jedwabi, sprzedam to panu Rafałowiczowi, Ormianinowi, co w rynku podłe ratusza ma swój kram, i będę miał pieniądze, i moje siostrzyczki, a też braciszkanie z głodu

przymierać więcej nie będą.

- Pięknie to wszystko, jeno do Warszawy jest daleko, i nie

wiem, jak ty tam to doprowadzisz.

- Wziąłem do niewoli dwóch Murzynów, żeby mi dopomagali.

Ale już zbliżano się do murów Wiednia. Ponieważ przez

bramę, której tak prędko odtarasować mieszkańcy nie mogli,

przejechać było niepodobna, więc furta, służącą do wycieczek, król

z hetmanami wjechał. Nie puszczono nikogo więcej, nawet Piotrka,

jeno pan Dyakowski za królem wjechał. Wojsko zaś całe poszło

dalej i o dwie mile od Wiednia obozowało.

Nad wieczorem król wrócił z Wiednia, a pan Dyakowski

opowiadał takie śmieszne rzeczy o Niemcach, że się wszyscy

słuchający go za boki brali, a Maciek wołał: - O, laboga, laboga, jaki

to głupi naród te Miemcy. - Mówił tedy pan Dyakowski, że król

jegomość po mszy św. i Te Deum w kościele św. Szczepana

poszedł na obiad do komendanta, grafa Starhemberga, gdzie dla

króla i hetmanów postawiono osobny stół, a drugie dwa stoły dla

pułkowników i innych wojskowych. Skoro król siadł z hetmanami do

swego stołu, przy którym sam komendant służył, to przedniejsi

oficerowie niemieccy, przydani od komendanta, zapraszali do

drugich stołów naszych wojskowych, mówiąc do pułkowników,

będących w burkach: - Domini tapetes ad secundam mensam - co

znaczy „panowie burkowi do drugiego stołu”, towarzyszków zaś,

będących w skórach lamparcich, słowami: - Domini tigridos ad

primam mensam - czyli „panowie lamparci do pierwszego stołu”. Na to król i hetmani poczęli się uśmiechać, co spostrzegłszy komendant Starhemberg, widząc przy tym, że z wojskowych żaden się do stołu nie przysuwa, pytał, co to jest. Dopiero pan Dyakowski powiada mu, że to ci tapetes tymi tygrysami komenderują, bo ci oficerowie, a ci towarzystwo. Skonfundował się komendant i przeproszał, tłumacząc się, że to z nieświadomości, uczynił i już pomieszczono wszystkich jak należy.

- A obiad był dobry? - pyta ktoś pana Dyakowskiego.

- Żal się, Boże - odpowiada tenże - pieczone było tak twarde i rozumiem, że z psa, czy też konia, że król jegomość, który ma już zębów niewiele, całe ugryźć onej kabaniny nie mógł. To tylko było piękne i tym się król cieszył, że gdy jechał przez ulice miasta, to ludzie padali przed nim na kolana, krzyżem się kładli, wołając to niemieckim, to łacińskim językiem: ave salvator.

- Paniczu - pyta szeptem Maciek - co to znaczy?

- Znaczy to: „witaj, zbawco”.

- Pewnikiem, że tak, bo żeby nie król jegomość i ja, com tych czarnych diabłów w namiotach wezyra tyle naścinał, że mi aż ręka ustawała, toby Turek był Wiedeń wziął.

A wtem ozwie się na to powolnie, cedząc wyrazy, Adamczyk:

- Już to ta pan Maciej trochę koloryzuje. Przeciem widział na własne oczy, że pan jeno jednego ściał Murzyna, a potem uciekł.

Spojrzał się Maciek strasznym wzrokiem na Adamczyka i

rzeknie:

- O, laboga, laboga, jak to zaraz znać, żeś ty łyk, mój

Adamczyk, i cale się na rycerskim rzemiośle nie znasz. Ciebie,

rakarzu jakiś, jeszcze tam nie było, kiedym ja to pogaństwo

poskudnie ścinał. Wszak ci wszyscy wiedzą, zem ostał w namiotach

wezyrskich przeciw całej potędze tureckiej i mężnie jej czoło

stawiałem, walcząc jak przystało na kmiecia, Piasta, który też jest

szlachcic, jeno krzyneń gorszy, a też biedniejszy, ale zawsze lepszy

od takich jak ty łyczków.

- A i to nieprawda - odpowie spokojnie Adamczyk - bo kiedym

przyjechał pana Macieja ratować, to pan Maciej leżał przykryty

namiotem, jeno łeb krzyneń wyściubiając.

Powstał na to śmiech powszechny, czym rozgniewany Maciek

zawołał:

- Otóż osioł jesteś! - I odszedł.

Tak się zabawiano w obozie, a nazajutrz wyruszono dalej,

gdzie dano znać, że cesarz niemiecki, Leopold, ma przyjechać, by

wojsko oglądać i królowi za swe ocalenie podziękować. Postroili się

więc wszyscy dworzanie bogato i suto, a Maciek w zdobyczy

Adamczyka wyszukał sobie jakiś długi żółty, w zielone kwiatki,

jedwabny żupan i w niego się przybrał, a na głowę wdział też hełm

turecki z półksiężcem. Piotrek nie widział go w tym dziwacznym

stroju, bo przy królu pełnił od rana służbę, ale Adamczyk mówił:

- Wygląda pan, panie Macieju, jak© sam wezyr, albo święty

turecki.

- O, laboga, laboga, jak to zaraz znać, żeś ty łyk, mój

Adamczyk, i nic nie wiesz. Przecież ja widział na własne oczy świętego tureckiego, jak siedział w kucki na ziemi, kiwał się i mamrotał coś pod nosem. Goluteńki był cały, a nie tak jak ja, com jest w sajetach. Świętemu temu jednym zamachem usiekłem głowę, a był to czarownik nie lada, bo się jego korpus rzucał, jak kiedy zmiję potną...

- Ej, znowu pan Maciej koloryzują. Przecież widział na własne oczy, że tego świętego dragan usiekł.

- Dragan, dragan, on to tylko dokończył, alem ja...

A wtem dano znać, że cesarz jedzie, i Maciek nie dokończył, bo wszystko się ruszyło, a król z hetmanem wielkim, panem Stanisławem Jabłonowskim, i całym swym dworem w szczupakach wyruszył przed wojsko, naprzeciw cesarza. Maciek także tam popędził. Ujrzał na przedzie jadących dwóch trębaczy w kusej, czarnożółtej barwie, którzy dęli w trąby, dając znać, że cesarz się zbliża. Jechał on otoczony mnóstwem książąt, na ciężkiej białej szkapie, która całą grzywę miała w warkocze splecione i u tych warkoczy wisiały wstążki czarne i żółte na przemian. Sam cesarz był po niemiecku ubrany i na głowie miał wielki kapelusz pełen ogromnych piór. Gdy się obaj monarchowie zjechali, pokłonili się sobie, potem coś gadali, a cesarz, poglądając na orszak królewski, wlepił nagle oczy w Maćka, który w swym żupanie na tureckim

bachmacie, podparłszy się pod boki, czwanił się jak hetman. Widać cesarz coś o nim powiedział, bo i król się obrócił i spojrzął, a potem szepnął coś do pana Papieskiego.

Tedy pan Papieski przypadł do Maćka i chwyciwszy jego konia za cugle, odprowadził go na bok i huknie:

- A ty smyku, skurczybuto, błaznie jakiś zatracony, coś wdział na siebie?! Skądeś się tu wziął w orszaku królewskim? Czekaj że, sprawię ci ja łaźnię! Won mi stąd i zaraz mi to zrzuc ze siebie! Cóż to, maszkarady tu będziesz czynił?! Won, mówię, bo nie zdzierzę!

To mówiąc, odpiął od kulbaki tęgi surowcowy bizun i począł nim bez litości okładać Maćka. A że ten, ile że dzień był gorący, na sobie prócz koszuli i owego jedwabnego żupana nic więcej nie miał, więc bizun przylegał mu do skóry siarczyście. Toteż niewiele myśląc spał konia i uciekł wśród śmiechu dragonów, przed których frontem się to działo, strasznie przerażony i zdziwiony, nie rozumiejąc wcale, czego od niego chcą i za co pan Papieski tak go nielitościwie sprał. Przyjechał stękając do namiotu swego, a Adamczyk, który z dała, wszystko widział, gadał jakby nigdy nic:

- Cóż pan Maciej tak prędko wrócili?

- O, laboga, laboga, jakie gorąco.

- Pewnie, że gorąco, Cóż cesarz niemiecki?

- A nic... uf, o laboga, laboga.

- Podobał mu się strój pana Macieja? He? Widzi mi się, że

wzięli pana Macieja za Turczyzna, bo ktoś gonił z szablą czy też

bizunem?

- O, laboga, laboga - jęczał Maciek - legnę sobie, bom się spocił.

- Pewnie, że było się od czego spocić.

Tak sobie Adamczyk pokpiwał z Maćka, który zaraz położył się w namiocie i na frasunek spał jak suseł, nie chcąc już ani widzieć, ani słyszeć nic o cesarzu niemieckim.

Rozdział dwudziesty czwarty

Jako Adamczyk został Adamczewskim, Maciek szlachcicem, a Piotrek dziedzicem Obór

Piotrek późno powrócił z owej uroczystości witania króla polskiego, a wrócił okrutnie markotny na Maćka. Opowiadał, że król jest bardzo gniewny najprzód z powodu zachowania się cesarza, który ledwie wtedy sięgnąć raczył do kapelusza, kiedy konie obu monarchów pyskami się omal o siebie nie dotykały; że skoro królewicz Jakub nadjechał i kłaniał się, to cesarz wcale mu się nie odklonił; że cesarz, oglądając wojsko, gdy go witało okrzykami i pochylaniem chorągwi, jechał jakby był z drewna, dopiero gdy go pułki pana hetmana polnego, Sieniawskiego, na rozkaz tegoż wyraźny, wcale nie witały, wtedy począł się kłaniać wojsku i omalże nie z gołą głową już jeździł.

Co się tyczy. Maćka, król bardzo był zrazu zagniewany, że taką maszkaradę ze siebie zrobił i śmiał bez pozwolenia w orszak królewski wjechać; że nic by nie było, gdyby nie cesarz, który

zwrócił uwagę na chałat jaskrawy Maćka i jego hełm, i pytał, czy to jaki basza turecki znajduje się w otoczeniu królewskim; że król chciał z początku sądzić Maćka, ale dowiedziawszy się, iż to ten sam, co orła pierwszy spostrzegł pod Nikolsburgiem, a potem murze tatarskiego wziął do niewoli, kazał wszystko puścić w niepamięć, przykazał jeno surowo Piotrkowi, ażeby sługę swego trzymał krótko i zbytniej wolności mu nie dawał. Maciek słuchał tego, ale nic nie mówił, dopiero kiedy Piotrek rzekł:

- Pan Papieski dobrze zrobił, że cię parę razy bizunem skropił.

- O, laboga, laboga, to nie jest prawda, bo nie bizunem, jeno szablą, i gdyby nie owa ciężka lama na tureckim żupanie, byłby mnie porąbał dziad zatracony, a i tak mię plecy bołą.

A wtem ozwie się swym powolnym tonem Adamczyk:

- Co też pan Maciej gadają, co to za lama? Chałat jest z cienkiej materii i od bizuna popękał z kretelem. Sam widziałem, że pan Papieski prał pana Macieja nie szablą, jeno bizunem, a że prał rzetelnie, więc pana plecy bołą.

- Ty gamoniu jakiś, stul gębę, kiedy się nie pytają! - wołał gniewnie Maciek, ale rzecz była taka zabawna, że Piotrek śmiał się z tego szczerze i kazał Maćkowi, żeby się jaką maścią wysmarował, bo jutro całe wojsko wyrusza za Turczyńcem na Węgry.

Jakoż w rzeczy samej król, pomimo rady niektórych panów, którzy chcieli, żeby wracano do Polski, wymaszerował z wojskiem na Węgry. Walczono tam dość szczęśliwie i Maciek całkiem

zapomniał o swej niefortunnej przygodzie z panem Papieskim, a kiedy go kto pytał, co takiego było, opowiadał, że go wszyscy wzięli za baszę tureckiego i rzucili się nań z szablami, i jeżeli nie został rozsiekany, to zawdzięcza jedynie swemu męstwu i rączości konia.

Tymczasem nadeszła nieszczęśliwa potrzeba pod Parkanami, gdzie całe wojsko, nie przygotowane, poszło w rozsypkę, nie wytrzymawszy natarcia tureckiego i szukało ratunku jedynie w ucieczce. Popłoch był tak wielki, strach tak paniczny, że przy królu jegomości został zaledwie pan Matczyński, koniuszy koronny, pan Dyakowski, Piotr Rzecki i Adamczyk. Uciekano więc, ile że Turcy pędzili zawzięcie na koniach dobrze wypoczętych i co kogo dognali, to zaraz zarąbali. Na nieszczęście trafiono na rolę świeżo zoraną, która z rana była przymarzła, bo jesień już była późna, a potem rozpuściła, i koń królewski, dźwigający taki ciężar na sobie, wiązał i ustawał. Dopiero pan Matczyński począł go szablą łechtać, a tymczasem wołać na mijających dragonów i husarzy:

- Mości panowie, widzicie kto jest! Wstrzymajcie konie, a salwujcie, będzie osobliwszy respekt!

Ale mało kto tego słuchał, tak że przy królu był jeno pan Matczyński i jego pokojowcy, a też paru rajtarów. Maciek zwyczajem swoim pobladł mocno i dygotał ze strachu, schylony na koniu, nie śmiał nawet głowy odwrócić. Za to Piotrek, pan Dyakowski, Adamczyk i rajtarowie mężnie sobie poczynali i co który Turek dopadł, to brali go na szable. Ale wtem z boku zwała się na

nich kupa jeźdźców tureckich, jakich może dziesięciu, a tu koń pod królem wspiera się.

- Boże wielki, ratuj! - krzyknie Piotrek i najedzie na znacznego Turka tak, że mu szablą od razu głowę zmiótl.

W tejże chwili inny Turek wysforował się naprzód i pędzi wprost na króla, a że mu Maciek przeszkadzał, który tuż leciał, więc go pchnął długą dzidą, którą dzierzył w ręku. Maciek utrzymał się jednak na kulbace, a że mu ból dokuczył, więc go porwała pasja ostatnia. Kiedy to nie krzyknie:

- A ty rakarzu przeklęty, psia wiaro jakaś! - Kiedy to się nie obróci i nie najedzie z szablą na Turka, nie minęło i jedno mgnienie oka, a Turek już padł z konia z rozplataną szpetnie głową.

Dopieroż teraz rozegrała się w Maćku stara, pocziwa krew mazurska. Z roziskrzonymi oczyma, rycząc jak żubr, straszny w swym gniewie wpadł Maciek na Turków i dzielnie przez innych wspomagany, rąbał, że aż drzazgi leciały. W jednej chwili kilku ziemię gryzło, a reszta pierzchła. Maciek w zapale, na nic już nie pomnąc, chciał ich gonić, ledwie go Piotrek powstrzymał, wołając:

- Maciuś, co czynisz, zarąbią cię! Opamiętał się przecie, ale był już rozogniony i potrząsał szablą, z której krew ciurkiem ciekła.

Teraz na samym końcu jechał i rzucał oczami dokoła, jak jastrząb gotowy spaść na tego z pogan, który by śmiał się zbliżyć. Król widział to i gadał do pana Matczyńskiego:

- Ten chłopiec dobrze sobie poczyzna, mężny jest. - Jeszcze

raz najechała ich nowa kupa wroga, ale po żwawej utarczce, w której Maciek jak szalony się rzucał, odparto Turków. Wydobyto się przecież na grunt twardy, a też już chorągwie polskie poczęły się kupić i przeciw nieprzyjacielowi obracać, więc zaprzestał on pościgu. Król ocalał, ale Piotrek, Maciek, Adamczyk, byli kilkakrotnie cięci jataganami i krew się z nich lała. Tedy król im podziękował za mężną obronę osoby i do Maćka rzekł:

- Tyś chłop, poddany Rzeckiego?

- Tak, miłościwy panie - odpowie Maciek, słaniając się, bo krew zeń uchodziła - kmieć jestem, Piast taki dobry...

Nie skończył, bo zemdłał. Więc go opatrzone i wszystkich trzech do Presburga odesłano, by się tam z ran wyleczyli. Zażywali więc sobie wczasu w Presburgu i wygod wszelakich. Stali kwaterą u jakiejś Niemkini, która im betów nasłała moc, i Maciek w pierzynach się wylegiwał, gęsinę pieczoną jadał i niestworzone rzeczy prawił o swojej waleczności, o Murzynach, Turkach i cesarzu niemieckim, za którego basarunek dostał od pana Papieskiego. Jeden tylko Adamczyk był markotny, bo całą swoją zdobycz wiedeńską utracił pod Parkanami, jeno z koniem jednym ostał i pięćdziesięciu dukatami w złocie.

Ale zdarzyło się, że po skończonej wojnie odwiedził rannych, których było mnóstwo w Presburgu, królewicz Jakub i gdy się dowiedział o waleczności Adamczyka i o tym, jaka u jego rodzica w Warszawie bieda panuje, rzekł mu:

- Jak wrócisz do Warszawy, to niech ojciec twój narobi czamar węgierskich, takich, jak tutejsi panowie noszą, a zobaczysz, że od razu przyjdzie do fortuny.

Toteż kiedy na koniec wylizali się wszyscy trzej z ran i wrócili do Warszawy do boku króla jegomości, Adamczyk tak zrobił, jak mu zalecił królewicz, i gdy czamarki były gotowe, przypomniał o nich gdzie należy. Królewicz też zaraz pojechał na Stare Miasto, czamarkę kupił i ustroił się w nią. Gdy się pokazał na pokojach zamkowych, zaraz wszyscy panowie pośpieszyli do starego Adamczyka i nuż kupować czamarki i przepłacać nawet za nie, bo ich wkrótce zabrakło, tak że krawiec musiał przynająć kilkunastu czeladników, dzień i noc szyć, by nastarczyć żądaniom, ale też za to pieniądze i dostatek drzwiami i oknami, można powiedzieć; do niego - płynęły.

Maciek z łaski królewskiej i za instancją u Piotrka został uwolniony z poddaństwa i król jegomość na najbliższym sejmie wyrobił mu skartabellat, to jest nadanie mu szlachectwa za zasługi na wojnie. Przywdział teraz na siebie kontusz i żupan, szablę do boku przypasał i chodził bardzo często do warsztatu Adamczyka albo do winiarni Fukiera, i tam, zasiadłszy przy kuflu, dziwy łyczkom opowiadał o swej waleczności i o swoich przygodach, wywołując niemały podziw w swym audytorium. Wprawdzie niekiedy młody Adamczyk odzywał się swym powolnym głosem:

- Ej, pan Maciej koloryzuje - ale to wcale Maćka nie

konfundowało i zawoławszy na Adamczyka: - Milczałbyś, asan, kiedy szlachta mówi - opowiadał o swych strasznych przygodach z Szydła, o dziwnych kolejach Wołocha, o wzięciu murzy do niewoli, o tym, jak sam w namiotach wezyrskich całą potęgę na sobie zdzierzył itp. rzeczy.

Ale w jakie pół roku po powrocie z wyprawy wiedeńskiej te pogawędki Maćka i wprawianie w zadumienie mieszczańskich słuchaczy miały się skończyć. Panicz jego, Piotrek Rzecki, otrzymał niespodzianie dziedzictwo znaczne. Stryj jego z Obór, pędząc świnie zimą do Warszawy, przeziębził się mocno, rozchorował się i umarł, i Obory wraz z trzema folwarkami oraz na trzykroć sto tysięcy gotówki w złocie obrączkowym spadło na Piotrka, jako jedynego sukcesora. Rzucił więc Piotrek służbę i wyjechał z Maćkiem do Obór. Tu jeden z folwarków wypuścił swemu towarzyszowi tylu przygód w arendę i siedzieli obaj na wsi, gospodarowali, gwarzyli o swych dziwnych przygodach, niekiedy zaglądali do Warszawy, szli pokłonić się królowi jegomości, zawsze odeń życzliwie witani, a potem odwiedzali na Starym Mieście Adamczyka, który miał teraz już piękną kamienicę, ożenił się ze Strubiczówną (patrycjuszką miejską), został rajcą i przezwał się Adamczewskim.

Ale gdy król Jan III umarł, co wkrótce nastąpiło, taka ich obu, Piotrka i Maćka, żalność ogarnęła, że już wcale do Warszawy nie zaglądali, tylko zakopali się w swych domach i jedynie

rozpamiętywaniem swej przeszłości się zajmowali. A że przeszłość ta była ciekawa, więc ją spisywali w księgę, z której to księgi opowieść niniejsza jest wzięta.

Walery Przyborowski, urodzony w 1845 r. w Domaszewicach pod Kielcami, zmarły w 1913 r. jest autorem licznych prac naukowych oraz wielu powieści obyczajowych i historycznych. Jego książki dla młodzieży, wydawane w dużych nakładach i wznawiane często aż do czasu wojny, były chętnie brane do ręki przez młodych czytelników. Tymczasem o autorze ich w opracowaniach historyków literatury znajdujemy tylko skąpe wzmianki.

Biografia Przyborowskiego rysuje się nam jako typowa droga polskiego inteligenta szlacheckiego drugiej połowy XIX wieku. W młodości brał udział w powstaniu styczniowym: walczył w oddziale Langiewicza, potem Bielińskiego, został ciężko ranny w jednej z bitew. Skazany na kilkuletnie więzienie, po odzyskaniu wolności osiada w Warszawie, gdzie prowadzi dalej studia historyczno-filologiczne w Szkole Głównej oraz poświęca się publicystyce i twórczości literackiej. Drukuje swe pierwsze powieści (pod pseudonimem Z. L. Sulima) na łamach „Przeglądu Tygodniowego”, postępowego pisma pozytywistów, którego jest stałym współpracownikiem. W latach późniejszych głosi w swych pracach historycznych (większość z nich dotyczy lat 1861-1864), a szczególnie w redagowanej przez siebie „Chwili” (1885) poglądy słowianofilskie i program polityczny ugody z Rosją carską.

Jednocześnie jednak jako autor powieści historycznych czerpie tematy z walk narodowych Polski przedrozbiorowej, a przede wszystkim z walk powstańczych o niepodległość. Jest budzicielem patriotyzmu i uczuć narodowych.

Do młodzieżowych książek Przyborowskiego cieszących się największą popularnością zaliczyć trzeba powieści: Szwoleżer Stach i Bitwa pod Raszynem (obie z pocz. XIX w.), Młodzi gwardziści, Raławice i Grom maciejowicki (z cyklu o powstaniu kościuszkowskim), Pod Stoczkiem, Adiutant naczelnego wodza, Olszynka Grochowska (z cyklu o powstaniu listopadowym).

Wszystkie te książki odznaczają się dużą prostotą stylu i języka, swadą narracyjną, humorem. Zasługą Przyborowskiego jest wprowadzenie do wszystkich tych powieści bohaterów ze środowiska ludowego: chłopców wiejskich czy warszawskich czeladników. Dla tych właśnie postaci autor zdobywa najwięcej sympatii czytelnika, bo ukazuje ich patriotyzm, dzielność, humor. Krytycy literacy okresu, w którym tworzył Przyborowski, zapatrzeni we wzory historycznych epei Kraszewskiego, Jeża, Gąsiorowskiego, czynili mu zarzut ograniczania się do wycinkowego ukazywania tła dziejowego i niewprowadzania na scenę wielkich postaci historycznych. Tymczasem to właśnie stanowi specyfikę twórczości Przyborowskiego. Jego powieściopisarstwo należy do literatury, którą można określić jako historyczno-przygodową. W książkach tego typu mała grupka

bohaterów przeżywa żołnierskie przygody na zarysowanym niezbyt drobiazgowo tle historycznym.

Sądzymy, że i dzisiejszy młody czytelnik chętnie zapozna się z tym typem polskiej książki, związanej z dziejami własnego narodu i kolorytem własnej ziemi.

Tłem historycznym książki, którą oddajemy do rąk czytelników, są przygotowania i przebieg wyprawy wiedeńskiej króla Jana



Sobieskiego. Zwycięska bitwa pod Wiedniem, która złamała na zawsze ofensywną potęgę Turcji, była ostatnim zrywem chylącej się do upadku Rzeczypospolitej. Była ona świadectwem męstwa i bitności polskich żołnierzy, wśród których wielu było chłopów; z nich głównie rekrutowały się sławne oddziały dragonów i piechoty.

Jednym z nich, o których pamiętnikarz francuski pisze, że choć obdarci „mają zaciekłość niepojętą”, jest bohater tej książki, zdobywca namiotów wezyra - Maciek.

Krystyna Zalewska